

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

POGROBEK

Józef Kraszewski

Pogrobek

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=23542090

Pogrobek:

Аннотация

Czasy rozbicia dzielnicowego – II połowa XIII wieku. Książę Przemysław II dostrzega, że w państwie dzieje się źle, rozbicie dzielnicowe nie sprzyja, a poprawę sytuacji mogłaby przynieść tylko centralizacja władzy. Podejmuje więc działanie w tym kierunku. Jednak nie tylko w państwie dzieje się źle – nieszczęśliwe okazuje się także małżeństwo Przemysława ze szczecińską księżniczką Lukierdą. W powieści występują postaci historyczne, ale znajdziemy również silne inspiracje tradycją i podaniami ludowymi. Pogrobek to 11 tom cyklu Dzieje Polski autorstwa Józefa Ignacego Kraszewskiego. Powieść została wydana w 1880 roku. Kraszewski był jednym z najważniejszych – i najpłodniejszych – pisarzy XIX wieku. W ciągu 57 lat swojej działalności napisał 232 powieści, głównie o tematyce historycznej, społecznej i obyczajowej. Zasłynął przede wszystkim jako autor Starej baśni.

Содержание

Tom Pierwszy	5
Rozdział I	5
Rozdział II	22
Rozdział III	40
Rozdział IV	59
Rozdział V	77
Конец ознакомительного фрагмента.	91

Józef Ignacy Kraszewski

Pogrobek

*Prezesowi Izby Handlowej Krakowskiej Panu
Baranowskiemu na pamiątkę z nim odbytej podróży
ofiaruje Autor*

*1880. W dzień Zwiastowania N. Panny
Drezno.*

Tom Pierwszy

Rozdział I

Ze wszystkich dworów książęcych w Polsce w drugiej połowie XIII wieku, nie było mniej wystawnego, skromniejszego nad kaliski, księcia Bolesława, zwanego Pobożnym. Wojak zawołany a razem mąż bogobojny, za żonę miał, równie jak sam, zacną i świątobliwą niewiastę Jolantę¹, siostrę Kingi, żony Bolesława, krakowskiego księcia. Nieustanne wojny go trapiły, to z napadającymi na granice jego Brandeburczykami, to z książętami śląskimi, to z innymi powinowatymi chciwymi ziemi, a nie mogącymi usiedzieć spokojnie. Nie mógł więc prawie wytchnąć dnia jednego, kręcąc się ciągle po rubieżach u Santoka i Drdzenia, zakładając i zdobywając zameczki, później strzegąc już nie tylko swoich posiadłości, ale i zdanego mu w opiekę młodego Przemysława Pogrobka, który się był poznańskiemu Przemysławowi już po jego zgonie narodził. Losy tego sieroty obchodziły go tym mocniej, że własnego syna nie miał, a trzy córki tylko, którym ziemi po sobie oddać nie mógł, bo męskiej dłoni potrzebowała.

¹ *Jolanta* – córka króla węgierskiego Beli IV, siostra Kingi, żony Bolesława Wstydliwego. [przypis edytorski]

Było więc co robić i sięść pod dachem na wypoczynek nie mógł ani pomyśleć książę Bolesław, ale to była krzepka i zdrowa natura, do pracy i znoju stworzona, nie przykrząca sobie nimi, zawsze wesołej myśli, spokojnego oblicza, czystego serca, prostoty wielkiej. Wśród tych mnogich dworów ówczesnych książęcych w Krakowie, Sieradzu, Poznaniu, Wrocławiu, Lignicy, Opolu, Płocku, kaliski najmniej oczy ściągał i nie starał się błyszczeć.

Ludzi do wojny sposobnych Bolesław musiał mieć ciągle, bo mu odetchnąć nie dawano, ale to byli jakby bracia młodszy, jak prawa drużyna i dzieci. Wszyscy z nim żyli na stopie poufałości z poszanowaniem połączonej, którą dobroduszość jego wyzywała i cieszyła się nią. Kochali go bliżsi i dalsi, a choć czasy owe wymagały, aby wódz odznaczał się, budził cześć dla siebie, Bolesław mało dbał o to, by się dumnie postawić. Chodził jak prosty rycerz, nie dbając o piękne zbroje ani o drogie szkarłaty² i bisiory³; klejnotów nie lubił, a gdy w domu siedział, nosił się w kożusku prostym i skórzniach⁴, w czapce starej i wytartej, że go nieraz obcy przybywający poseł wziął za urzędnika dworskiego, z czego on śmiał się tylko.

Wpatrzywszy się w jego niepozorną twarz ogorzałą, z żywymi oczyma czarnymi, mógł jednak każdy domyśleć się w nim

² *szkarłat* – kosztowna krwistoczerwona tkanina jedwabna lub wełniana. [przypis edytorski]

³ *bisior* – cienka i kosztowna tkanina. [przypis edytorski]

⁴ *skórznie* – wysokie buty skórzane. [przypis edytorski]

szlachetnej krwi i pańskiego ducha. Wejrzenie miał śmiałe a bystre, uśmiech przy łagodności pełen zaufania w siebie, czoło jasne a rozumne. Ale postawą nie nadrabiał wcale, zdał się chrześcijańską pokorą chcieć pokryć swe pochodzenie, a ludzi lubił, gdy mu zamiast bić czołem, zbliżali się doń z zaufaniem jak do ojca. Nie było litościwszego nadeń człowieka w powszednim życiu, bo dobry chrześcijanin w każdym widział brata swojego w Chrystusie, choć na placu boju czy z pogan, czy z Sasami a Brandeburczykami (bo ci razem chodzili), żołnierz był zuchwały, niemal szalony.

Szedł do boju przeżegnawszy się, z modlitwą i ową starą pieśnią do Bogarodzicy, niezapomnianą od czasów Chrobrego, ale wpadłszy w zamęt i wrzawę bojową, gdy się w nim krew rycerska ocknęła i zakipiała, stawał się strasznym dla wrogów. Gdy potem, ostygłszy, poszedł na pobojewisko z księżmi, bo miał ten zwyczaj, że do rannych i konających ich prowadził, łączył się z nimi patrząc⁵ na pokaleczonych i dogorywających. Łamał ręce, narzekając na te nieuchronne a nieustanne wojny.

– Nie będzie temu końca – mawiał – aż jednego pana dostaną te ziemie, a nas, drobnych, los albo wymorzy, lub wyżenie. Sami się my wypieniamy i niszczyliśmy ten kraj, który Bóg opiece naszej poruczył⁶.

Ale daremne to były narzekania, gdyż zamiast jednoczyć się, dzieliły się ziemie polskie na coraz drobniejsze części.

⁵ *patrząc* – dziś popr.: *gdy patrzył*. [przypis edytorski]

⁶ *poruczyć* (daw.) – *powierzyć*. [przypis edytorski]

Mazowieccy się rozłamywali, ślascy rozradzali jak mrowie, Kraków z Sandomierzem szedł osobno. Poznań z Gnieznem stały same przez się. Im więcej przybywało dzieci, tym rosło więcej chciwych władzy nieprzyjaciół. Brat bratu, synowiec stryjowi wydierał, nierzadko syn powstawał na ojca. Niektórzy, sami ku obronie i napaści nie mając siły, przyzywali Prusaków i Litwę. Siedzieli już na karku Mazowsza i Pomorza niemieccy panowie krzyżowi⁷ prawem i bezprawiem zawojowując ziemie.

Czasy były zaprawdę ciężkie. Nikt nikomu nie wierzył. Straszno było pojechać zaproszonemu w gościnę, aby jak to się nieraz trafiało, nie zostać schwyconym, więzionym w klatce i zmuszonym oddawać powiaty za życia. Wyruszyć do odleglejszego kościoła bał się każdy bez silnego orszaku, bo i tam u ołtarza mógł nań czyhać brat, swat albo jaki pokrewny. Nie pomagały na to ani małżeństwa, ani kumania się i krwi związku.

Namiętności były rozhukane. Pobożność posunięta do szaleństwa, rozpusta do bezwstydu, a obok wstrzemięźliwość do klasztornej w małżeństwach odosobnienia. Gdy Bolesław Wstydlivy z własną nie żył żoną, Mszczuj⁸ pomorski trzymał sobie mniszkę ze słupskiego klasztoru wziętą. Działy się rzeczy straszne, dzikie, znamionujące naturę namiętną, ludzi nieokiełznanych, równie gorąco goniących za złem i dobrem. Miary w niczym nie było. Niewiasty ówczesne dawały przykład świętobliwości nadzwyczajnej, a mężczyźni niektórzy szli

⁷ panowie krzyżowi – zakon krzyżacki. [przypis edytorski]

⁸ Mszczuj – Mestwin I (ok. 1220–1294), książę pomorski. [przypis edytorski]

pociągnęci za nimi.

Na Bolesława Pobożnego wpływała, choć łagodna i dobra, ale jak siostra⁹ świątobliwa, Jolanta, żona jego, która wzdychała przy mężu do klasztoru. Bolesław we wszystkim, oprócz wojennego szafu, umiarkowańszy, nie dał się jej jednak skłonić do naśladowania szwagra Pudyka¹⁰. Małżeństwo było przykładne, miłujące się, a Bolesław wymógł na żonie, iż o Bogu nie zapominając, o dzieciach i o nim też pamiętała.

Siostra Kinga napominała ją ciągle do surowszego życia, do przygotowania się, aby owdowiawszy, razem z nią poszła resztę życia w klasztorze poświęcić Bogu. Jolanta godziła pobożność swą z obowiązkami. Trzy córki wyrosły u boku troskliwej matki wychowane skromnie i pobożnie.

Książę Bolesław, gdy mu dawały spocząć Brandeburczyki, a mógł posiedzieć trochę na kaliskim zamku, prawdziwie był szczęśliwy. Wojak nie stracił prostoty prawie dziecięcej. Siedział z żoną i dziećmi u komina, bawił się rozmową z nimi i służbą, śmiał się i rozkoszował życiem jakby prostego ziemianina.

Niejeden zamożny panek może więcej nad niego sadził się na przepych, na stół i suknie. Książę kaliski drugim pozwalał się tym bawić, sam nie potrzebując żadnego zbytku. Skarbiec był dostatni, ale też z niego córki trzeba było wyposażyć i rycerstwo opłacić; dla siebie zaś oboje księstwo tak mało potrzebowali, iż

⁹ *siostra* – tu: zakonnica. [przypis edytorski]

¹⁰ *Pudyk* – Bolesław Wstydlivy (1226–1279), książę krakowski, ost. przedstawiciel małopolskiej linii Piastów (z łac. *Pudicus*). [przypis edytorski]

go wcale nie trwonili. Każda zaś wyprawa łupem zdobytym go pomnażała.

Księżna Jolanta, wyjąwszy dni świąteczne i gdy goście na dwór zjechali, nosiła szaty wełniane, szare, klejnotów nigdy, zasłonę białą na głowie. Dziewczęta chadzały w bieliznie¹¹ albo zimą w prostych sukniach wełnianych. Książę w swoim kożusku, podpasany rzemieniem, jedwabiu nie wkładał, chyba na wielkie święto do kościoła dla Boga, nie dla siebie i ludzi. Rozumie się, że przy takim panu i dwór bardzo się stroić nie mógł, choć mu z tym czasem bywało markotno, gdy który z powinowatych książąt nawykły do zbytków niemieckich na dwór zajechał.

W Kaliszu rzadko dobywano sreber i złocistych naczyń lub opon¹² ze Wschodu przywiezionych, chyba na uczczenie jakiego dostojnika Kościoła lub na uroczystość domową. Gdy książę Bolesław zmuszony był przybrać się i nawieszać łańcuchy na siebie, chodził w nich jak w kajdanach, zrywając te więzy co najrychlej.

Oboje księstwo pobożni byli bardzo, co nie przeszkadzało im powszednie życie mieć w pamięci. Kapelan, który razem kancelarskie pełnił obowiązki, ciągle był u jego boku. Niekiedy drugi pobożny staruszek kapłan go wyręczał. Miał wojewodów, podkomorzych, urzędników dworu, ale ci jak przyjaciele domowi stali przy nim. Padać przed sobą nie dawał Bolesław

¹¹ *bielizna* (daw.) – tu: odzież lniana. [przypis edytorski]

¹² *opona* (daw.) – zasłona. [przypis edytorski]

nikomu, poufalszych najwięcej kochał, kłamstwem, choć dla poczczenia¹³, się brzydził.

Miał przy tym książę różne zamięłowania ziemianina. Konie i stada swe lubił, o urodzaje u ludzi pilno się dowiadywał, z prostymi zagrodnikami rozmawiał i żartował, jakby mu równi byli. Nieraz ubogiego dziada na drodze spotkawszy, wiódł go z sobą, śmiejąc mu się i wyzywając na gawędę. Miał to szczęśliwe usposobienie, że wesołym rad był być, czoła dla powagi nie chmurzył. Posąpnym¹⁴ też ludzi podejrzewał, iż chyba złego coś na myśli mieć musieli.

W ostatnich latach, Bolesław mało zażył spoczynku, bo go szczególnie Brandeburczyki napastowali. Zmarła była matka Przemysława Pogrobka, nad którego spadkiem czuwać musiał jak nad własną ziemią. Ledwie Santok spalili umyślnie, aby się nie dać w nim Niemcom zagnieździć, ledwie Pobożny trzy zameczki na granicy założył dla obrony, już Brandeburczycy odbudowali twierdzę nadgraniczną i Suliniec jeszcze wznieśli, aby w nim zasiadłszy się, czatować.

Suliniec tedy odbierać im trzeba było, a że go rozpaczliwie broniono, szli Polacy jak mostem tarczami okryci pod świeże jego ściany, toporami odbili glinę z nich i podpaliwszy, dopiero opanowali. Dostał się Sas Sabel w niewolę, ale Santoka odebrać nie udało się. Następnego roku znowu Santockie trzeba było niszczyć, aby Brandeburczykom i Sasom pokoju nie dać, a do

¹³ poczczenie (daw.) – tu: okazanie szacunku. [przypis edytorski]

¹⁴ posąpnym – dziś popr.: posepny. [przypis edytorski]

Soldyna po drabinach się dobijać. Z obu stron napadano się nieustannie, a o ten Santok nie mało się krwi przelało.

Wychowaniec księcia Bolesława, Przemysław Pogrodek, którego doma¹⁵ poufale Przemkiem Sierotką zwano, dochodził lat szesnastu. Chłopię było na podziw piękne, silne, postawne, żywe i rwało się już spod stryjowskiej opieki, nie dla władzy, bo dziecko było powolne¹⁶, ale dla rycerskich popisów. Książę Bolesław zaś nie puszczał go za wcześnie na wojnę, bo obawiał się i kochał go, a jedyny u niego był. Wiedział, że młodego puścić na swobodę najniebezpieczniejsza rzecz. Wstrzymywał go, jak mógł, ale w szesnastu leciech młodzieniaszka naówczas od wojny powściągnąć, gdy ta była każdego księcia powołaniem, nie mogła największa powaga.

Tymczasem wiosną 1272 roku, znowu ten Santok, aby się Niemcy w nim nie zagnieździli i nie zagospodarowali, trzeba było albo im wyrwać z rąk koniecznie, lub przynajmniej nie dać im w nim chwili pokoju. Książę Bolesław sam się już na nich wybierał, gdy majowe powietrze wilgotne, na które się rankiem naraził, spowodziło zimnicę¹⁷. Zwołano zaraz baby, aby na to radziły; dały mu pić ziele gorzkie okrutnie, zażegnwały, odprawił ksiądz nabożeństwo, a zimnica nie chciała precz. Zawsze łatwiej jej dostać, niż się pozbyć.

¹⁵ *doma* (daw.) – w domu. [przypis edytorski]

¹⁶ *powolny* (daw.) – posłuszny. [przypis edytorski]

¹⁷ *zimnica* – malaria bądź inna choroba objawiająca się naprzemienną gorączką i dreszczami. [przypis edytorski]

Książę na wszystkie cierpienia wytrzymały, że mu to choróbsko było nie na rękę, smucił się i niecierpliwił. Najpiękniejsza pora roku do wyprawy mijала, rozścielały się bujnie zielone trawy, pasza dla koni była wyborna, powietrze dla żołnierzy ni skwarne, ni nadto zimne. Wyprawić zaś ludzi bez siebie nie mógł książę, bo go nikt przy nich zastąpić nie umiał. Gdy on – wesoły – swój gruby, rubaszny podniósł głos, leciało rycerstwo razem z nim, nie bacząc na nic.

Bądź co bądź tedy, a było to w drugiej maja połowie, książę już nawet z zimnicą wybierać się był gotów. Mówił, iż miał to doświadczenie raz w życiu, że na koniu się dobrze wytrząsłszy i spotniawszy, choroby pozbył pośród wojny. Księżna Jolanta, która mu nigdy w niczym na zawadzie nie stawiała, opierać się nie śmiała, ale niespokojną była.

Pięknego wieczora majowego siedzieli w podsieniu zamku kaliskiego Bolesław, Jolanta i córka jej najmłodsza. Gród ten, choć na owe czasy dosyć warowny, wspaniałym wcale nie był. Dworce w większej części stały z drzewa budowane i niskie.

Książę właśnie, w kożusku za stołem siedząc, winem ciepłym korzennym na zimnicę sobie radził, księżna, mając córkę u boku, z dala cicho z nią rozmawiała, gdy pachole dworskie wbiegło z radosną twarzą, oznajmując, że z Poznania jechali goście. A że Przemka Sierotkę kochali wszyscy, radość wybuchła wielka.

– Mów, gość a nie goście! – zawołał książę do chłopca, który stał z oczyma wesołymi, pewien, że mu za nowinę będą

wdzięczni.

I kubek na stole postawił.

– Ależ goście, proszę Miłości Waszej – dodało chłopię – bo nie sam ksiązę Przemko, ale z nim dużo jakichś panów.

Księżna Jolanta wstała trochę niespokojna, spoglądając na męża:

– Przemko bo lubi – odezwał się ksiązę – aby koło niego było świetnie, ludno, błyszcząco. Musiał już sobie dwór pański przystroić, a temu się zda, że nie sam jedzie.

I wyszedł ksiązę na spotkanie pod drugie drzwi ku podwórcom, gdy goście właśnie z koni zsiadali. W istocie orszak był ludny i świetny. Na czele jego jechał młodziuchny, szesnastoletni, już bujno wyrosły, z długimi włosy złotawymi, z niebieskimi oczyma, zręczny, gibki, silny, dziwnie pańsko patrzący z góry Przemko.

Można mu było lat dać więcej, niż ich miał w istocie. Bródka i wąsy już mu się wysypywały, a nie tknięte jeszcze, okrywały jakby puszką złocistą ładną jego twarzyczkę, wesoło się uśmiechającą. Chociaż w podróży, ksiązę miał zbroję stalową, bogato wysadzaną i złoconą, ubranie obcisłe, pas błyszczący, nożyk u pasa jak cacko, ostrogi złocone, a na jednym ramieniu płaszcz lekki, ciemnoczerwony ze złotem. Widać było, że się przystroić lubił, że dbał o to, co miał na sobie. Hełm też, w pasy złocone, skrzydłami błyskał w kamienie sadzonymi. W stroju tym Przemko tak był w istocie piękny, tak wyglądał pańsko, iż spojrzawszy nań, stryj ręce podniósł dobrodusznie wołając: – Toś

mi pan! Toś mi piękny!

I po otaczających powiódłszy wzrokiem, przekonał się, że chłopię słuszność miało, bo nie sam przybywał Przemko, ale z paradą i dostojnymi gośćmi, jakby w uroczystym jakimś poselstwie.

Na koniu okrytym obok jechał poważny mąż, także odziany i zbrojny jak na gody, Przedpełk, wojewoda poznański, za nim Mścibór, kasztelan i trzech ziemian starszych, dalej Nałęcz Pawełek i Zareba, Michnem zwany, co się razem z księciem wychowywali. Wszyscy oni na wzór pana byli poprzyodziewani świętecznie, bo Przemko lubił i wymagał, aby koło niego wszystko pięknie wyglądało.

Tej prostoty obyczaju, jaką miał stryj, nie nauczył się od niego – a i po ojcu zamiłowania tego w blasku odziedziczyć nie mógł, bo Przemysł stary, pan pobożny, co noce spędzał na modlitwach, także się w przepychu nie kochał, ani matka nieboszczka, Elżbieta, wagi do niego nie przywiązywała. Jak się to często zdarza, wziął może po pradziadach skłonność tę Przemko lub mu ją dała krew gorąca i fantazja młodzieńcza.

U niego wszystko, co go otaczało, aż do najprostszej czeladzi¹⁸, strojne być musiało. Konie też pobrzękiwały i połyskiwały, a na głowach ich kity sterczały i na piersiach chwośców było pełno i blaszek. Cały orszak wielkopolskiego księcia połyskiwał i błyszczał. On sam, żywo z konia skoczywszy, hełm zdjął i do stryja podszedł uniżenie, pokornie

¹⁸ *czeladź* – służba. [przypis edytorski]

się kłaniając a po rękach go całując.

Ten oburącz go chwycił za szyję i ścisnął jak własne dziecko, a gdy Przemko głowę podniósł, z rozkoszą mu się przypatrywać począł.

– Szesnaście lat! Młokos! – zaśmiał się. – A takie to już wybujałe, zmężniałe, jak gdyby miał dwadzieścia! Co ci tak pilno!

– Pewno, pewno, pilno mi, stryju kochany, pilno! – odparł Przemko wesoło. – Już bym w pole rad! Czas! Moi wszyscy w tych latach co ja, już się ucierali, a ja muszę z kapłanem czytać i w dziedzińcu do tarczy oszczepem ciskać, gdy mnie świerzbi dłoń użyć go na tych Sasów lub...

– O, będziesz tej zabawki dosyć jeszcze miał! – westchnął Bolesław. – Niemców się nie przebierze tak prędko! Zaczekaj!

Przerwał mowę wojewoda Przedpełk, przystępując dla powitania. Spojrzał nań Bolesław i uprzejmie go pozdrowił, a potem innych przybyłych z synowcem witał poufale, uśmiechając się do nich, całą tę starszyznę pociągając za sobą do dworu.

Że w izbach duszno było, zasiedli znowu w podsieniach, gdzie już księżnej Jolanty nie było. Staruszek tylko ksiądz Malcher stał na uboczu. Był to ulubiony obojgu księstwu, pobożny a jak oni łagodny człowiek, spokojnego ducha, pokory wielkiej, która przy świątobliwości zdała się ubłogosławieniem. Przemko postąpił ku niemu, aby go, jak należało, w rękę pocałować, a staruszek pobłogosławił go z rozrzewnieniem.

Książe Bolesław, wnet biedę swą przypomniawszy, począł na

zimnicę narzekać.

– Gdyby to лихо później choć przyszło! – zawołał. – Mnie tu potrzeba iść na tych przeklętych zbójów, na Santok, na Strzelce... a jam się do niczego nie zdał. Jeszcze dopóki trzęsie, nie dbałbym o nią; gdy zacznie palić, łeb trzaska i człowiek sobą nie władnie.

Przemko popatrzył na swego wojewodę, przemówili do siebie oczyma.

– Stryju kochany – rzekł – gdyby to nie był grzech i niepoczciwość wielka, powiedziałbym, że się z tej choroby cieszę. Zimnica przejdzie, a teraz ona tego dokazać może, iż mnie pozwolicie iść na Santok za siebie.

Książę Bolesław ręce podniósł żywo do góry.

– Nie pozwolę! – zawołał. – Nie pozwolę! Z tymi zbójami nie twoja rzecz się mierzyć; na pierwszą wyprawę ja cię sam będę prowadził.

Przemko się zasępił i obrócił ku swemu wojewodzie.

– Mówcież wy za mną! – zawołał. – Mówcie wy!

Wojewoda podszedł krok ku księciu Bolesławowi.

– Miłościwy Panie! – odezwał się. – Naszemu młodemu księciu czas by siły spróbować i trudno nam go utrzymać, rwie się strasznie!

– Ale nie pora dlań jeszcze! Nie pora! – rzekł książę Bolesław spokojnie. – Kiedy czas ma być, mnie do sądu zostawcie! Jednego jego mamy! – I poszedł Przemka uściskać.

– Stryju miłościwy! Puść! Puść mnie! Wróćmy cali.

Przedpełk mi za kuma do tego chrztu krwi służyć będzie. Mąż jest doświadczony.

– Nie przeczę – zawołał książę – ale i ja w kumy nie gorszym od niego!

Wojewoda cofnął się, schylając głowę.

– Ja bo sam chciałem cię w pole prowadzić, gdyby nie ta nieszczęsna zimnica – mówił stary. – A! W poręż ona mnie złapała! W porę! Tymczasem Sasy i Branderburgi okopują się, pale biją, zamki klecą, a coraz mocniejsi się stają. Dać się im tu osiedzieć, później trudno będzie wykurzyć! Ze spoczynku korzystają, a tu pasza, a tu ludek wypoczęty!

– Skińcież tylko! Pozwólcie, na miłego Boga! My z wojewodą ruszmy jutro!

Na to właśnie wszedł Jan, zwany Janko, kasztelan kaliski, poufny księcia, przyboczny sługa i przyjaciel, mąż jak on niemłody, ale zawiędły, krzepki, twarz spalona, aż brunatna, w marszczkach cała, włos przerzedzony, ramiona szerokie, pierś duża, nogi krótkie i jakby przegięte od konia. Odzież miał domową, prostą, jak książę, dlatego może kwaśno się oglądał po strojnym dworze młodego pana.

– W porę mi przychodzisz – zwrócił się do niego Bolesław – ty, stary mój! Pomożesz mi! Ten młokos, patrzaj go, wrywa mi się. Słyszysz? Chce mu się Santoka!

Janko zadumany spojrzał na Przemka i na wojewodę, ale co miał wziąć stronę swego pana, ramionami ruszył.

– Ano – zamruczał – książę pan zostałbyś z zimnicą doma,

a my, z księciem młodym i wojewodą ruszylibyśmy Sasów nastraszyć. Czemu nie?

– To i ty, niegodziwy zdrajco, przeciwko mnie?! – rozśmiał się zafrasowany książę.

Skłonił się kasztelan.

– Wasza Miłość przebaczy, staremu słudze wydaje się, że to by było niegorzej.

– Beze mnie się obchodzić! – dodał książę.

– Z Waszą Miłością byłoby nam lepiej – odezwał się prawdomówny przyjaciel – toć pewna. Ale jak nam książę pojedziesz słaby, a będziemy go musieli w drodze strzec, to nas Niemcy strzepią.

Książę Bolesław obejrzał się dokoła, a wojewoda poznański dodał:

– Naszemu panu, daj Boże zdrowie, jużci też pora skosztować pola. A od czegoż my we dwu z kasztelanem? Strzec go będziemy lepiej niżli oka w głowie, bo każdy z nas by zań oboje oczów oddał.

– Stryju – odezwał się Przemko, podchodząc ku niemu i śmiejąc się wesoło – byłeś mi zawsze ojcem, bądźże dobrym i łaskawym! Mnie już wnętrzości goreją, aby raz w pole wyciągnąć!

– Na te pierwociny jam właśnie sam chciał być z tobą – rzekł stryj smutnie – a ty mi się wyrывasz! Należy mi się do twojego rycerskiego pasa podać ci samemu rękę, kiedym się chował i chuchał nad tobą. Ty, niewdzięczny, dla pośpiechu i mnie się

wyrzekasz!

Przemko aż pokłękł przed nim i ręce złożył. Stary skłopotany przysunął się, ściskając go, milczący. Nie odpowiedział nic. Sprawa młodego zdawała się wygraną, ale słowo stanowcze wyrzeczone jeszcze nie było. Wojewoda i kasztelan stali milczący, spoglądając na księcia, który zadumał się i coś jak łzę otarł z oka.

– Ale boś ty mi jedyny! – rzekł powoli i łagodnie. – Strach mi o ciebie. Przy moim boku bezpieczniejszym byś był.

– My go też nie spuścimy z oka! – zawołał Janko czule. – Waszej Miłości potrzebny spoczynek. Choróbsko to na wyprawę, gdzie trzeba w polu na rosie spać nie mając się gdzie ogrzać, a uznoić, a znużyć... to najgorsze utrapienie! Z zimnicą w pole iść nie można, a w pole ciągnąć musimy. Niechaj młody pan popróbuje!

– Niech próbuje! – wstawił się wojewoda poznański.

Drudzy z dala stojący poczęli też mruczeć, prosząc za nim. Bolesław stał w niepewności, wahając się i raz jeszcze uściskał chłopca.

– A, a – mówił – ja bo na tej twej głowie wszystkie przyszłości złożyłem nadzieje! Śmieje mi się na niej więcej niż książęca czapka. Kto wie? Odrodzona korona może!

Przemko się zarumienił, oczy mu się zaiskrzyły, wtem Bolesław nagle umilkł, spuścił wzrok ku ziemi, posmutniał.

– Wola boża, wola boża – szepnął cicho. – Niech będzie, jako pragnie i jak wy żądacie, ale strzeżcie go! Strzeżcie!

Przemko upadł na kolana i natychmiast porwał się, rękę podnosząc do góry, zwrócony ku swoim.

– Wojewodo! Kasztelanie! – krzyknął podniesionym głosem, który brzmiał radością i zwycięstwem. – Na Santok! Na Santok! Choćby dziś jeszcze!

Rozdział II

W kilka dni potem książę Bolesław sam znowu ze swą zimnicą i starym księdzem Malcherem siedział na kaliskim zamku, szerzej niż zwykle wiosenną wodą Prosny oblanym. Przemko z wojewodą i kasztelanem dodanymi mu za opiekunów pociągnął na Santok. Stryj miał się czym niepokoić. Chłopię to było jego marzeniem, nadzieją, przyszłością. Bolesław w myśli swej budował na nim przyszłe odrodzenie kraju. Chciał go mieć rozumnym, pobożnym, wstrzemięźliwym, miłości i poszanowanie u ludzi umiejącym sobie pozyskać.

Obok wychowania sieroty, wedle ówczesnych pojęć o nim, książę chodził bardzo troskliwie, najlepszych, najzdolniejszych ludzi przydając mu do boku. Tylon kanclerzem był razem i nauczycielem młodzieńca, wojewoda Przedpełk uczył go rycerskiej sprawy i obyczaju książęcego. Oba mężowie stateczni nie spuszczali go z oka, kształcili tak, aby nadziejom stryja odpowiedział. Często też Bolesław brał go do siebie i nauczał sam, ale za miękkim się czuł dla niego i długo nie trzymał. Kochał go nadto, więc mu pobłażał.

Rosnąć tak *Pogrobek* na prześlicznego wybujał młodziana, któremu nic zarzucić nie było można, oprócz że w nim za wcześniej gorąca krew Piastowska grać zaczynała, którą w innych ledwie najpobożniejsze ówczesne niewiasty pohamować mogły i poskromić. Ciągnęły go już nad miarę wdzięczne liczka, a choć

mistrzowie do zbytku surowymi nie byli, choć Tylon patrzył na to przez szpary, niepokoił się trochę tą za wczesną dojrzałością.

Księża, nie bacząc na to, że miał zaledwie lat szesnaście, już go żenić chcieli. Wojewoda nie był też od tego. Pociągało to za sobą usamowolnienie, a choć księżę Bolesław nie był zazdrosnym władzy synowca i puściłby mu chętnie, co trzymał pod opieką, lękał się, aby gorącością młodzieńczą nie popsuł, co on z wielkim trudem mu zabezpieczał.

Teraz, gdy go już puszczono w pole, na wojnę, szły za tym następstwa konieczne, trzeba go było żenić i wypuścić na wolę. Księżę Bolko więcej myślał o tym niż o swojej zimnicy, którą pora wiosenna i błotniste zamku okolice sprowadziły.

– Księżu Malcherze – mówił do staruszka – mężu dobrej rady, powiedz mi, poradź mi, co poczynać z tym kochanym Przemkiem! Poszedł już w pole! Niech go tam Bóg uchowa całym! Wojewoda i kasztelan ręczyli mi głowy swoimi, że go nie odstąpią. Młodość zawsze zbyt gorącą bywa. Da Bóg powróci, trzeba go będzie wypuścić na swobodę.

Książd Malcher począł z cicha:

– Tak należy. Wasza Miłość za żywota swojego właśnie cugli mu popuść. Zobaczysz, jak wolności zażywać będzie. Sposób to najlepszy. Zapędzi się za daleko, to go swą powagą powstrzymacie. Gdyby później nagle całą wolę oddzierzał¹⁹, nie wypróbowałwszy siebie, mógłby się nadto rozbrykać.

– I to prawda! – rzekł Bolesław. – Rad bym go wodził i z oka

¹⁹ *oddzierzać* (daw.) – otrzymać. [przypis edytorski]

nie spuszczał. Wojewoda donosił mi, że na niewiasty już rzuca nadto pożądanymi oczyma, więc go i żenić trzeba.

Ksiądz potwierdził wniosek.

– Młodyc jest bardzo – dodał – ale wedle rady św. Pawła lepiej, by się ożenił, niżby gorzeć miał.

– Z wyborem żony troska nie mała – westchnął stary książę. – Niemieckich dziewczek na seciny jest, które by nam chętnie dano dla niego, ale patrząc na Śląsko i na innych naszych, którym za żonami Niemcy dwory poobsiadali, Niemki nie chcę. Rusinka mi też nie do smaku, bo dumne są i samowolne. Dalej szukać trudno.

Wzdychał biedny opiekun ciężko.

– Byle pobożna, świętobliwa niewiasta była – zamknął ks. Malcher.

– Takich jak moja w świecie mało – odezwał się Bolesław – zaś świętych jak Jadwiga, Salomea i Kinga²⁰ dla Przemka nie chcę, bo mu potomstwa trzeba. Prostemu człowiekowi łatwa rzecz ożenić się, byle niewiasta do serca przypadła, a dziedzicowi ziem znacznych na wszystko zważać trzeba.

Ksiądz Malcher słuchał z uwagą, lecz nie odzywał się już, w politykę mieszać nie chcąc.

– Jedną z moich dziewcząt byłbym mu swatał – mówił Bolesław – choć powinowactwo bliskie, ale wiek nie przystał

²⁰ *Jadwiga, Salomea i Kinga* – Jadwiga (ok. 1178–1243), żona Henryka Brodatego; Salomea (1211/12–1268), siostra Bolesława Wstydlwego, królowa Halicza i Węgier; Kinga a. Kunegunda (1234–1292), żona Bolesława Wstydlwego. Każda z nich opuściła męża, by osiąść w klasztorze. [przypis edytorski]

i rachuba była niedobra. Po mnie on i tak Kalisz zabierze, a trzeba mu innej, co by albo ziemię, albo nadzieję dziedzictwa przyniosła.

Wzdychał staruszek, gorzkie ziele popijając, które przed nim stało, krzywił się i spluwał.

– Niemało, księżu mój, troski z tym synem przybranym, więcej niż z dziećmi własnymi. Żony mu teraz potrzeba rychło, aby dziewczki nad nim nie przewodziły, co zła rzecz i grzeszna. Rok jeszcze jaki przebrykać może swobodnie, dalej go do domu przywiązać trzeba, aby i ziemianom ich niewiast nie bałamucił lub jak Mestwin mniszek po klasztorach nie szukał i gorszej jeszcze obrazy bożej się nie dopuszczał.

Nawzdychawszy się, książę wstał i począł przechadzać. Zaledwie wyprawa na Santok poszła, coraz się nią mocniej niepokoił. Pilno mu było dostać języka.

– Sasy te – mrucał do księdza się zbliżając – biją się wściekle. W pierwsze pole na nich iść, guza można napytać. Żłem zrobił, że na nich Przemka puściłem, na Litwę bezpieczniej było, ale wstrzymać takiego w ukropie kąpanego sposobu nie było.

– Bóg łaskaw – rzekł starowina uspokajając.

Dzień tak minął jeden, drugi i trzeci, rósł niepokój straszny. Bolesław gniewać się już chciał, że mu ani Janko jego, ni Przedpełk nic znać nie dawali; kazał im przecież mieć gońców pogotowiu. Milczenie uparte złe myśli nastręczało.

– Któż wie – mówił książę dnia trzeciego – te łotry Sasy, przebiegli ludzie, mogli się zawczasu dowiedzieć o wyprawie i

uczynić na nich zasadzkę.

Książd staruszek i księżna Jolanta próżno się go uspokajając starali. Słowa ich pomagały mało. Zbierał się już słać za wojskami, tak go gryzło, iż nic o Przemku nie wiedział. Rozważniejszy książd Malcher bardzo dokładnie obrachowywał panu, iż, przy największym pośpiechu, wiadomość żadna przyjsć tak prędko nie mogła. Nic i to nie pomagało. Wyrzucał sobie stryj, iż nierozważnie młokosa puścił.

– Gotów wojewodę swego i kasztelana opętać, a do jakiego szalonego namówić kroku – gderał. – Santok ten dla nas zawsze był nieszczęśliwym. Braliśmy go, brali i wziąć nie mogli, a co krwi kosztował!

Dopiero dnia czwartego nadbiegł goniec od poznańskiego wojewody z pozdrowieniem i wiadomością, że nigdzie nieprzyjaciela spotkać nie mogli, bo się wszystek po zamkach i gródkach pozamykał. Wtargnęli w Santockie pustosząc je, ale bić się z kim nie było i młody wojak narzekał. Sasi, zawczasu pomiarkowawszy, iż siłom połączonym Bolesława kaliskiego, Ziemomysła kujawskiego, który też im wysłał posiłki, i poznańskiego Przemka nie podołają, skryli się do miejsc obronnych, dopóki by nawała nie przeszła.

Młody książę, z męstwem swym na popis wyjść nie mogąc, rozpaczał. Bolko, wieść o tym odebrawszy, gońca nazad²¹ odprawił z krótkim słowem: „Nie chce się Brandeburczyk bić, kraj mu obrócić w perzynę, wykurzycie go z jamy!”

²¹ *nazad* (daw.) – z powrotem. [przypis edytorski]

Wieść tę odebrawszy, stary odetchnął, mniej się już lękając o ukochanego synowca. Łowy to już były i plądrowanie a nie wojna. Niebezpieczeństwo młodemu nie groziło. W ciągu całej tej wiosennej wyprawy, co dni kilka przychodziły wieści, zawsze jedno, że Santockie niszczone i łupy brano ogromne. Odwet to był konieczny, ale nie bój, którego się lękał stary. Nim się skończyło uganianie, zimnica księcia Bolesława przeszła z cieplejszymi dniami, stary ozdrowiał, a że się o synowca nie lękał, i dobra myśl mu wróciła.

Nie upłynęło niedziel kilku, gdy przodownicy pędzący trzody i niewolnika zjawili się w Kaliszu. Wojska wracały zwycięskie. Wojewoda poznański ze swą częścią łupu wprost poszedł do domu, kujawscy też. Przemko z Jankiem, kasztelanem kaliskim, jednego wieczora przybył na zamek. Stał już u wrót książę Bolesław, czekając na umiłowanego, który skoczył z konia, witając go równie serdecznie.

– Chwała Panu! Powracasz cały! Zwycięsko! – odezwał się stary rozjaśniony i wesół. – Chwała Panu!

– A mnie zwycięstwa tego wstyd! – odpowiedział Przemko.
– Mieliśmy do walczenia ze starcami i babami. Trzeba było tylko palić i niszczyć! Łupu jest dość, pociechy żadnej. Gdybym nie uprosił wojewody, abyśmy Soldyna dobywali koniecznie, żołnierza bym nie widział.

Twarz się Przemkowi zapalała, gdy mówił.

– O, około Soldyna mieliśmy co robić – ciągnął dalej. – Zameczek, prawda, niezbyt warowny, ale załodze przyznać

trzeba, iż się tego bronić umiała. Naszych też widzieć trzeba było, gdy się na ściany drapali, bo inaczej jak po drabinach nie byłibyśmy ich dostali. Naspadało dużo, nazabijali wielu, ażeśmy ich przemogli²², wdarliśmy się na gród i zburzyli do szczętu.

To mówiąc, obrócił się za siebie, chcąc wskazać stryjowi niewolników niemieckich, których mu wiódł wraz z dowódcą. Bolesław zaś nie chciwy tego widoku, a młodego wychowanka pragnąc mieć co rychlej, pociągnął go za sobą do izby. Tu posadziwszy przy sobie, sam wojak namiętny, badać go dopiero począł, ażeby zobaczyć, co się w duszy młodego działo.

Pierwsze łowy, pierwsza wojna, pierwsza miłość – pierwociny życia, zawsze upajają młodych. Przemko też zdał mu się pijany tą wyprawą. Wszystko w niej wydawało mu się osobliwe, szczególne, piękne; słowa z ust lały się potokiem. Uśmiechał się stryj słuchając.

Zimniejszy daleko kasztelan kaliski stał, potakiwał, choć zapału tego nie dzielił. Dla niego przejście kraju nieprzyjacielskiego ogniem i mieczem było rzeczą tak zwyczajną, iż o niej mówić nie było warto. On razy tyle przeszedł już ze swymi Santockie, i całe pogranicze Marchii Brandeburskiej.

Z dumą ukazywał Przemko na zbroi ślad pchnięcia i razów, które przy zdobywaniu Soldyna otrzymał. Wolałby był ranę cięższą, krwawą, lecz nie poszczęściło mu się. Za stołem u wieczerzy nie było o niczym mowy, tylko o zwycięskiej

²² *przemóc* (daw.) – pokonać. [przypis edytorski]

wyprawie, udziale w niej Kujawiaków i Poznańczyków, i o tym, jaki łup się dostał komu. Nawet najmniej chciwy wódz, jakim był książę Bolesław, pragnąć musiał zdobyć, bo ona zubożała i trwożyła nieprzyjaciela.

Dla spoczynku chciał Bolesław zatrzymać u siebie synowca, lecz ten mu się, jak nigdy, z niecierpliwością wyrwał wielką. Nad dzień jeden nie mógł się nim pocieszyć. Nigdy jeszcze takim rozgorzałym nie widział młodego, tak razem²³ szczęśliwym i niespokojnym. Przypisywał to urokowi pierwszej rycerskiej wycieczki.

Trzeciego dnia przed świtem, unikając gorąca, wymknął mu się Przemko, a stary zajął się podziałem i rozdaniem spędzonych trzód i zabranego niewolnika. Łup był znaczny, nie tak ze zdobytego zamczyska, jak ze wsi i zagród splądrowanych niemiłosiernie obyczajem wieku. Gnano ogromne stada bydła, owiec, koni, szły wozy pełne odzieży, sukna i płócien, a za nimi szli powiązani łykami i sznurami jeńcy, których w oddalonych od granicy miejscach osadzano pod dozorem lub na zamkowe oddawano posługi.

Na samej rubieży od Marchii Brandeburskiej, w jednym z zamczków pobudowanych przez księcia, zwanym Niesłusz, siedział naówczas na straży jego osiwały w wojnach Krzywosąd, jeden z Bolesławowych ulubieńców. Wielkiej tam pilności było potrzeba, nieustannego czuwania; zdziwił się więc mocno książę, gdy go ujrzał przybywającego do Kalisza w kilkanaście koni.

²³ razem (daw.) – naraz, jednocześnie. [przypis edytorski]

Ułakł się, czy Sasi gródka mu nie wzięli, mszcząc się za spustoszenia, ale Krzywosąd przybywał nie potłuczony, w całej zbroi, z jasną twarzą.

– A cóż ty mi, stary, przynosisz?! – zawołał Bolesław, pokłon przyjmując. – Tameś ty w Niesłuszu potrzebniejszy niż tu. Ściany z chrustu gliną lepione, licha warte, a ty tam murem i ścianą.

Krzywosąd śmiał się, ocierając uznożone czoło.

– Nie ma niebezpieczeństwa – rzekł. – Po tej wyprawie Brandeburczyk posiedzi cicho. Ja za sprawą pewną do Miłości Waszej.

– Co za sprawa?

– A to, o tę dziewczkę dowódcy ze Soldyna – odezwał się Krzywosąd – co ją razem z innymi w niewolę zabrono. Stryj i matka ofiarują okup znaczny. Do mnie się z zakłęciami wielkimi udali, abym ją odzyskał.

– A gdzie ta branka jest? – spytał książę.

– Musielić ją tu przywieść²⁴, bo ze wszystkich jeńców najcenniejszą była – rzekł kasztelan. – Dziewczyna lat piętnaście i piękna bardzo; ojciec pokumany był z margrafem.

– Spletli ci baśń – odparł stary książę – bo ja tu o żadnej takiej dziewczce nie wiem.

– Przecież jej by nie zabili ani by się mogła ukryć!

Kazał książę zawołać kasztelana Janka, który się wkrótce zjawił. Spytany o brankę, Soldynowego dowódcy córkę,

²⁴ *przywieść* (daw.) – przyprowadzić. [przypis edytorski]

ramionami poruszył.

– Ja o niej nie wiem – rzekł.

Mówił jednak tak jakoś, że mu uwierzyć było trudno. Bolesław, popatrzywszy nań, podumawszy, Krzywosądowi kazał iść spoczywać i jeść, a sam na bok szedł ze swym kasztelanem.

– Co się z tą Niemką stało? – naparł go. – Ty wiesz?

Janko pomilczał trochę.

– Pono Przemko ją swoim kazał wziąć i jak oka w głowie strzegąc, aby palcem jej nikt nie śmiał tknąć, do Poznania prowadzić. A zagroził, gdyby jej się co stało, że na gardle ukarze.

Bolesław namarszczył się i zakłopotał.

– A widziałeś ty ją? – spytał.

– Jakże nie! – rzekł Janko. – Ojciec jej bronił tak zajadle, że gdyby z tyłu pochwyciwszy, go nie rozbroili, dałby się był pewnie za nią rozsiekać. Dziewka młodzieńska, piękności osobliwej, śmiała jak ojciec, bo też z nożem się uwijała, aż jej go z rąk wyrwać musiano, i kilku pokaleczyła. Co za dziw, że młodemu w oko wpadła!

– Młodość, głupstwo! – odparł książę.

– Żeby ją tak zaraz miał za okup dać, nie myślę – rozśmiał się²⁵ Janko – prędzej by sam jeszcze zapłacił. Niemiecka dziewczyna, biała jak kołacz pszenny, włosy złote a oczy czarne. Urodziwa!

Książę stary posmutniał słuchając. Wieczorem Krzywosąda wziął do komory swej.

²⁵ *rozśmiał się* – dziś popr. forma 3.os. lp. cz. przesz.: *roześmiał się*. [przypis edytorski]

– Jeżeli się o Niesłusz nie boisz – rzekł – jedź wprost do Poznania, a dziewczkę odbierz. Sam bym za nią zapłacił, aby mi Przemka nie opanowała. Młody jest – co się tam stało – na to nie ma rady, ale jak do niej nawykniesz a przylgnie, popsuje mi się. Odbierz mu ją gwałtem! Wracaj do mnie z tym, bom frasośliwy, co się stanie.

Nazajutrz Krzywosąd jechał już do Poznania, a w kilka dni był z powrotem. Zobaczywszy go, księżę podszedł żywo z pytaniem:

– Masz brankę?

– Nie dostałem jej. Nikt o niej nie wie. Mówią, że nie ma żadnej.

– Cóż się z nią stało?

– Różnie mnie uwodzili, że zbiegła nocą, drudzy, że po drodze głodem się morząc, zmarła.

Mówił to Krzywosąd, a z twarzy mu patrzyło, że sam temu nie dawał wiary.

– A ksiądz Tylon, a Przedpełk? Ci wiedzieć muszą, co się z jeńcami stało!

– Ni jeden, ni drugi nie chcą wiedzieć o niczym. Ramionami żyzmają, rękami rozkładają i milczą. Dziewkę może gdzie schowali, a wydać jej za największy okup nie myślą.

– Przemka pytałeś?

– Wiedział, z czym przybyłem, i sam to zagaił. Odsyłał mnie do drugich i tylem widział, że pozbyć mnie się chciał co rychlej. Tu Krzywosąd, pomilczawszy, dokończył:

– Nie taka to wielka rzecz jedna niemiecka dziewczyna, aby za nią czynić pogonie. Jestli gdzie, pewnie na wierzch wypłynie. W wojnie jeńców się nie doliczyć, a po drodze zawsze ich nie stanie tylu, co było w łykach.

Krzywosądowi pono ta jazda i tropienie już się naprzykrzyło, rad był do Niesłusza wracać i księciu radził, aby go nie strzymywał dłużej, bo choć czuł grodek bezpiecznym, wszelako diabeł i Brandeburczyk nigdy nie śpią.

I o brance potem słyhać już nie było. Baczny opiekun miał jednak swych donosicieli na dworze w Poznaniu. Nic tam baczości jego nie uchodziło. W miesiąc potem wiedział na pewno, iż niemiecka branka na zamku siedziała ukryta, a Przemko w niej rozmiłowany był strasznie, o wszystkim dla niej zapominając. Wojewodzie poznańskiemu, który go o to upominał, surowo odpowiedział młody książę, aby mu się do tego nie mieszał i księdzu Tylonowi wyrzutów sobie czynić nie dał.

Bolesław, niewiele myśląc, sam wybrał się do synowca. Ilekroć do Poznania przybywał znany z pobożności i łaskawości dla duchownych książę kaliski, biskup, kanonicy, zakony i co było dostojniejszych, przyjmowali go uroczyście. Sam Przemko też szanował go i kochał, więc wybiegł na spotkanie i gościł go jak ojca. Tym razem przyjazd nastąpił tak niespodziewanie, iż nikt nawet przeciw niemu wyjechać nie miał czasu. Książę wysiadał już w podwórcu, a nikogo, oprócz dworu, do przyjęcia go nie było. Wybiegł synowiec nierychło w ubraniu nie

rycerskim, ale dworskim, strojny i uśmiechnięty, a po raz może pierwszy widokiem opiekuna zmieszany, jakby przelekły, do izb go wprowadził.

Bolesław bacznie wszystko zważał, lecz miłość mu pomiarkowanie dawała i nie dawał poznać po sobie, co w myśli miał. Wiedział, że się tu źle działo, lecz przebojem iść przeciwko temu lękał się, aby gorzej jeszcze nie było i – żał mu może było chłopaka.

Na wieczerzę już się mieli czas zebrać wszyscy na zamek; ludzi było dosyć. Siedzieli za stołem oprócz Przedpełka wojewody, Mikołaj łowczy poznański, Blizbór sędzie, Petrek z Prędocina, Gniewomir podsędek, Tylon kanclerz i innych wielu.

Kaliski ksiązę zdał się być dobrej myśli i ozwał się do synowca żartobliwie:

– Nie wiesz pono ani się spodziewasz, z czym ja przybyłem do ciebie. Oprócz miłości mej, dla której zawsze cię rad widzę, sprawa niemałej wagi.

Wszyscy oczy obrócili na księcia. Ten wesołą twarz okazywał, co świadczyło, że sprawa groźną nie była. Pomilczał trochę, aby słuchający zgadując, co to było, głów sobie trochę nałamali. Przemko patrzył niespokojny, nie bez pewnej obawy, która w licu drgała.

– Gdy z was nikt nie odgaduje – ciągnął dalej Bolesław – muszę sam odkryć, z czym przybywam. Sądzę, że gniewu nie ściagnę. Ot, swatem przybyłem!

Zarumienił się Przemko, inni po sobie patrzali.

– Nie byłbym odgadł tego – ozwał się młody książę – bom od Waszej Miłości słyshał niedawno, że mi do małżeństwa było za wcześnie. Jeszczem też wojny nie dosyć skosztował, aby odpoczynku pragnąć.

– Prawda to – rzekł Bolesław – aleś ty u nas jedyny, rodu trzeba, a dlań macierzy. Więc żenić się musisz nie dla siebie, a dla nas. Poświadczy ksiądz Tylon, że ci, których Bóg postawił na świeczniku, nie sobie żyją i nie dla siebie się żeniają.

Przemko milczał, dolewał do kubka stryjowi i ręka mu drżała.

– Niewiastkę dla was napatrzoną mam – mówił Bolko – właśnie taką, jak potrzeba. Musimy na Pomorze się oglądać, aby je odzyskać. Konieczna to rzecz, choćby dla Krzyżaków i Brandeburgów, aby oni go nie wzięli. W Szczecinie u starego Barwina wnuczka się chowa, córka Kaszuba. Dziewczyna młoda, przez nią się z Pomorzany zwiążemy. Wiem ja, że mi jej dla was nie odmówią.

Gdy to mówił, Przemko słuhał go z oczyma na stół zwróconymi, lice mu się wcale nie rozjaśniało.

– Wziąłem o niej wiadomość dobrą – ciągnął dalej stryj – dziewczeczka piękna, młoda, jak potrzeba dla ciebie. Wiano też będzie niczego, a Pomorze nam potrzebne. Stary Barwin zniemczał, ale wnuczkę baby wychował inaczej.

Wojewoda poznański pierwszy głos zabrał, chwaląc wybór księcia.

– Nie ma co na to rzec, tylko dziękować – rzekł – jechać a swaty słać.

Przemko zmilczał. Było to zagajenie dopiero. Drugiego dnia już stryj mówił o podróży do Szczecina, jako o pilnej sprawie, do której się zaraz sposobić należało. Nie mógł się synowiec sprzeciwić, tylko zwlekał. Stryj w żarty obracał powolność jego.

– Gdy zobaczysz pomorskie dziewczę, jako mi o niej sprawę zdano – będziesz rad dziękował. Najpiękniejszą jest między pięknymi, a lat nie ma jak kilkanaście. Dziad już zawiadomiony czeka. Jechać potrzeba i brać tylko!

Nie mając się czym tłumaczyć, młody książę składał się tym, iż bez pięknego orszaku ruszyć nie mógł i podarki ślubne przygotować musiał. Ludzie i konie czasu potrzebowali, nim by ich podobierano.

Na wszystko to Bolesław odpowiedź miał gotową, iż z Kalisza dostarczy, czego zabraknie. Naglił i nastawał tak, że zwlec było niepodobna. A że na zamku poznańskim jak u siebie w domu był, co dzień go cały obchodził, wciskając się we wszystkie kąty, opatrując szopy, stajnie i komory nawet, dla czeladzi przeznaczone. Miał może nadzieję, iż klatkę odkryje, w której ptaszka niemieckiego chowano. Nie znalazł go nigdzie.

Błądząc tak dnia jednego i do okien zaglądając, zaszedł do księdza Tylona, który przy księciu jako pisarz i duchowny nauczyciel był ciągle i co się na zamku działo, o tym wiedzieć musiał. Mieszkał on nie opodal pana swego, w dwu izbach pełnych ksiąg, skór przygotowanych do pisania i wszelkiego kancelaryjnego przyboru. Człowiek był ze swej notarialnej

nauki²⁶ i wprawy bardzo dumny, próżny i pokłony lubiący. Nie gardził też i groszem. Mówiono o nim, iż dla dzieci brata zbierał go chciwie, nim się jednak miał im dostać, skrzętnie uciulany zamykając.

Nie bardzo starym był jeszcze, ale pergaminy, z którymi miał do czynienia, odbiły się w barwie twarzy jego żółtej, długiej, pociągłej, zasznurowanej dla powagi, jaką sobie nadać usiłował. Sam tu na dworze uosabiając powołanie władcy pióra i stylisty, nosił się ze swą uczonością wielce. Dla tych, co mu piękny podarek obiecywali, gotów był świeży wstęp aktu utworzyć, innym dawał jeden z tych kilku, które do wszystkich służyły. Na jego twarzy nikt nigdy nie widział uśmiechu, a kto mu w poszanowaniu uchybił, nigdy tego nie darował.

Szanował on wielce księcia Bolesława już dlatego, że często dlań szcudrym bywał, już że miał siłę i znaczenie. Ujrzawszy go wchodzącego, zerwał się do pulpitu, przy którym zawsze coś miał do czynienia. Trzcinkę położył i z uroczystym wystąpił pokłonem, ręce na piersiach składając.

– Ojciec mój – odezwał się wesoło i dobrodusznie Bolesław – ja do was przychodzę z wyrzutem i na zwiady. Przemko mi coś posmutniał, ludzie plotą, że się do jakiejś dziewczki, branki niemieckiej, uwiązał. Czyż byście o tym nie wiedzieli?

Książd Tylon rękami uczynił ruch, wstręt i obrzydliwość oznaczający.

– Nic nie wiem! – rzekł. – Nic wiedzieć nie chcę. Na oczy

²⁶ *notarialna nauka* – umiejętność tworzenia pism urzędowych. [przypis edytorski]

moje nie przyszło nic. Uszy moje na gwar pospolitego tłumu są głuche. Nic nie wiem.

Książę się uśmiechał.

– A mnie mówiono, że on ją gdzieś na zamku chowa.

– Nic nie wiem – dobitnie powtórzył Tylon i podniósł głowę – a prawda li to jest, nie moja wina! Wojewoda, kasztelan winni, świeckie ramię, nie duchowne. Moim obowiązkiem wystawiać mu szkaradę grzechu, obrzydliwość zwierzęcej rozpusty, to czynię nie omieszkając, to czynię; dalej, nie moja rzecz! Sprawa ludzi świeckich!

I rękami potrząsał.

– Wojewoda mówi, że o niczym nie wie – rzekł książę.

Notarius oburzył się.

– Zatem winien niedbalstwa, opieszałości, gnuśności, ślepoty! Winien jest, gdy, postawiony na straży, nie strzeże, gdy opiekunem będąc, nie opiekuje się.

Książę Bolesław zapalającemu się przerwał, dając znak, aby zamilkł. Z poszanowaniem popatrzył na pergaminy i pergaminowego człowieka, który stał jeszcze nachmurzony.

Odetchnąwszy, Tylon rzekł już łagodniej:

– Pozwolicie mi dodać, że tego, co być nie powinno, czasem najlepiej nie wiedzieć, lecząc chorobę, jak to Wasza Miłość czynicie, innymi środkami. Dać mu żonę, to najlepiej, krwi młodzieńczej inaczej nie powstrzymać, nie pohamować! Wasza Miłość najlepiej wiecie, co pomoże, w czas, jak Bóg przykazał, dać mu małżonkę. Ustanie zgorszenie pokątne.

Książę, nie odpowiadając na to, wyraził życzenie, aby ksiądz Tylon towarzyszył Przemkowi do Szczecina i bacznie miał oko na wszystko. *Notarius* skłonił się pokornie, znaczącym odpowiadając tylko spojrzeniem. Szczodry stryj za podobne usługi zawsze się czymś wypłacał.

– Sposóbcież się do podróży rychło – rzekł Bolesław, zabierając się do wyjścia. – Ja nie ruszę się stąd, dopóki go nie wyprawię do Szczecina, gdzie nań już czekają. Przywiezie ze sobą żonę – wszystko umówione, da Bóg, Niemki zapomni.

Z wielką ufnością, że małżeństwo wszystkiemu zaradzi i lekceważeniem całej sprawy, ksiądz Tylon ręką zamachnął.

– Słomiane to ognie! – zamruczał. – W młodości łatwo się one zapalają, ale i gasną prędko. *Caro infirma*²⁷ – cielsko słabe!

Pokłonił się.

– Sposóbcież siebie i jego do podróży – zakończył książę, wychodząc.

²⁷ *caro infirma* (łac.) – ciało słabe. [przypis edytorski]

Rozdział III

W czasie pobytu w Poznaniu, stryj na chwilę od siebie nie odpuszczał Przemka, w nocy jednak spać musiał, a choć w komorze sąsiedniej kładł się na spoczynek, tak że ich ściana tylko dzieliła, śpiący snem twardym ksiązę kaliski nie wiedział o tym, jak mu się nocami wymykał. W domku na podzamczu, pod dozorem starej Krywichy, mieszczanki, której mąż niegdy służył u dworu, otoczona czeladzią wierną, ukryta siedziała owa Niemeczka, która młodego księcia całkiem przykuła do siebie, z niewolnicy stając się panią.

Mina miała zaledwie rok szesnasty, ale była córką żołnierza, wykołysaną we zbroi. Za wcześniej wyrwała się z rąk matki na kolana ojca. Śliczne dziecko, do którego on był przywiązany bardzo, zastępowała mu syna. Umiłowana, pieszczona, swawolna i zuchwała Saksonka, była na wpół dzieckiem, pół mężczyzną. Najulubieńszą jej zabawką było strzelanie z łuku, ciskanie oszczepkami do celu. Krew przelana nie czyniła jej wcale wstrętu, na śmierć patrzyła nieraz z bliska obojętnie lub ciekawie. Konia dosiąść umiała jak chłopiec i wszystkie zabawy męskie lepiej jej smakowały niż dziewczęce.

Mimo tego obyczaju germańskiego wyrosła delikatną, piękną, jak żadna z rówieśnic, a na zamku w Soldynie kochali ją wszyscy bałwochwalczo. Średniego wzrostu, silna, gibka, z włosiem jasnym, czarnymi oczyma, biała i rumiana, miała twarzyczkę

dumną dziecka rycerskiego, nie lękała się nikogo i niczego. W czasie oblężenia walczyła zajadłe obok ojca, a gdy ją biorący w niewolę zmogli, kasała ręce tym, co ją wiązali. Piękność i młodość ocaliły ją od śmierci.

Przemko, który nadbiegł gdy ją wiązano, zobaczywszy dziewczę, cały rozplómiął dla niej i ze wszystkich zdobyczy jedną ją sobie zachował. Usłudni dworacy ukryli ją przed oczyma wojewody i kasztelana. Płaczącą i buntującą się zawieziono do Poznania, a Przemko rychło jakoś potrafił dziewczę uspokoić i pozyskać sobie. Znała ona prawa wojenne, wiedziała, że się musiała poddać losowi swemu, ale pochlebiało jej, że nie prostemu żołdakowi dostała się, tylko księciu. Przemko młody był, piękny i rozmiłowany w niej namiętnie. Kłócąc się z sobą, rozpoczęli tę miłość osobliwą, która miała się skończyć przywiązaniem gwałtownym i brankę uczynić panią.

Mina przerażała niedoświadczonego zuchwalstwem swym, gniewliwością, ale właśnie może takiego charakteru było potrzeba, aby łagodniejszego, choć dumnego, pana podbić. Widywał tylko niewiasty bojaźliwe, drżące, uległe i bezmówne. Ta miała dlań urok nowy. Rozmiłowawszy się w niej, oszalał młokos. Mina, poczuwszy to, korzystała ze swej władzy i już mu się wrywać na swobodę nie myślała, ale i jemu wrywać się nie pozwalała. Podobało się jej to życie półksiężnej z nadzieją, iż kiedyś może całą księżną zostanie. Niemka to sobie obiecywała, z pewną pogardą patrząc na pokorne i strwożone niewiasty, które ją otaczały. Była tu panią, rozkazywała, czyniły, co zechciała.

Czeladź padała na twarz przed ulubienicą księcia, on sam nie umiał jej nic odmówić.

Gwałtowna miłość młoda, namiętna, rozwijała się wśród kłótni, sporów, dąsań, w których zawsze zwyciężała Mina. Stosunek, zrazu drapieżny, stał się później szaleństwem. Niemka była zazdrosną, Przemko szczęśliwy z tego nawet, gdy go za włosy targała. Pod różnymi pozory raz w raz dobiegał do niej a przesiadywał, póki go niemal gwałtem nie wyciągnięto. Mina, choć jej potajemnie dawano środki do ucieczki, nie myślała z tego korzystać.

Wśród tego szczęśliwego upojenia obojga, gdy nic nie zdawało się im zagrażać, książę Bolesław przybył ze swatami – z rozkazem, któremu opierać się nie było podobna. Opiekun miał władzę i powagę ojcowską. Dworacy natychmiast o wszystkim Minie donieśli. Przemko we dnie przychodzić do niej nie mógł, bo stryj miał nań oko, nocami wykrażał się tylko. Gdy trzeciego dnia po przyjeździe Bolesława przybiegł do niej, przywitała go dzikim, złośliwym śmiechem.

– Cóż to? Żenić chce was ten poganin kaliski! Ten stary! – zawołała. – Ja tu drugiej nie zniosę, a biada tej, co mi się poważy...

Zacisnęła ręce. Przemko objął ją i ucałował, usta zamykając pocałunkami.

– Ty zawsze u mnie będziesz jedyna.

– Coś to ty, niewolnik stryja? Nie pan sobie? Co on ci tu ma do rozkazywania?

– Był mi ojcem.

– Na co ci żona? Ja nie dam ci z inną żyć i drugiej kochać!
Ja tego nie chcę!

A gdy Przemko milczał, dodała ze złością dziecięcą:

– Przyprowadź sobie żonę, przyprowadź! Ja ją zabiję lub struję!

Przemko kłamał dla uspokojenia jej, że małżeństwo to może jeszcze nie przyjść do skutku, a gdyby go nawet zmuszono wziąć żonę, ona mu niczym nie będzie, zostanie obcą. Siedzieć będzie zamknięta w osobnych komnatach, a on z Miną żyć jak przedtem.

– Niech mi tu spróbuje przyjechać, choćby królowna! – wołała, pięści podnosząc, zła dziewczyna. – Będzie jej tu ciepło! Niech przyjedzie! Wproszę się na dwór na sługę, a usłużę jej dobrze! Prędko jej tu nie stanie²⁸!

Księżę dawał jej wywoływać tak, niewiele do słów tych przywiązując wagi, uspokajał ją, jak mógł. Wykładał się potem cicho i wracał na swe łóżko, ciesząc się, gdy słyszał w sąsiedniej komnacie chrapiącego stryja.

Któregoś wieczora, gdy wychodził, drzwi skrzypnęły głośniej, Bolesław się obudził. Tknęło go coś, podkraść się zobaczyć, czy w miejscu swym śpi Przemko, i puste namacał łóżko! Nazajutrz nie powiedział mu nic, ale coraz mocniej zaczął nalegać o wyjazd do Szczecina. Księżę zwlekał niezręcznie, wynajdywał różne powody, aby się to przeciągnęło, w końcu, naciśnięty, ulec

²⁸ *nie stanie* (daw.) – zabraknie. [przypis edytorski]

musiał. Książę Bolesław zaczynał przemawiać surowo.

Dwór dla pana młodego sam stryj wybrał z ludzi poważnych, mężów dostojnych i dziarskiej a statecznej młodzieży, uboższych wyposażając w najlepsze konie, zbroje, płaszcze, pasy, ażeby mu synowiec wystąpił świetnie. We skarbcu też po Przemysławie starym, pobożnym, nie zbywało na niczym. Było z czego podarki zawieźć i wystąpić.

Jechali z młodym panem: Przedpełk, wojewoda poznański, książdz pisarz Tylon, kilku duchownych, podczasy²⁹, podkomorzy³⁰, ochmistrz³¹, łowczy³² i młodzieży rycerskiej kilkudziesięciu najśliczniejszej, a we wszystkich sprawach wojennych wyćwiczonej. Odznaczeni między nią Zaręba i Nałęcz, którzy prawie od dzieciństwa się z nim wychowywali i nie opuszczali go nigdy. Należeli oni do dwu rodzin zamożnych, rozrodzonych, które, jak to było w obyczaju, dzieci na dwór pański dawały chętnie, bo tym sposobem można się było nauczyć wiele, dosłużyć i dorosnąć do wyższych godności, a i nadanie ziemi pozyskać.

Zaręba i Nałęcz, słowiańskim prastarym obyczajem, byli sobie na pobratymstwo poprzysięgli, bo i w Polsce naówczas jeszcze pobratymców znano. Rówieśnicy prawie Pawełek Nałęcz

²⁹ *podczasy* (daw.) – urzędnik dworski podający wino. [przypis edytorski]

³⁰ *podkomorzy* (daw.) – zarządca książęcego dworu. [przypis edytorski]

³¹ *ochmistrz* (daw.) – urzędnik zarządzający dworem. [przypis edytorski]

³² *łowczy* (daw.) – urzędnik dworski odpowiedzialny za organizację polowań. [przypis edytorski]

i Michno Zaręba oba byli urodziwi, razem się do rycerskiego sposobili zawodu, ale się charakterami różnili bardzo od siebie. Właśnie to może ich ze sobą związało. Zaręba był jak huba³³ zapalny łatwo, ognisty, pyłki³⁴, do zwady skłonny, wielomówny, gorączka, prędki i niepomiarkowy. Nałęcz mężny, wytrwały, uparty, ale w sobie zamknięty i na oko powolny.

Zaręba Nałęczowi dodawał ognia, tamten hamował druha i do opamiętania go przyprowadzał. Jeden bez drugiego nie stąpił, a gdy na dłuższy czas musieli się rozłączyć, tęsknili do siebie, ciągle i każdy z nich to mocno odbolał. U obu jeden był worek³⁵, jedno mienie, wszystko wspólne. Za nieprzytomnego³⁶ Zarębę ujmował się Nałęcz, Pawłek też słowem nie dał dotknąć przyjaciela. Znano ich z tego na dworze i przezywano żartobliwie bliźniakami, że się tak bardzo kochali. Oba mieli siostry w domu i dla bliższego połączenia się, obiecywali sobie na niewidziane pobrać je za żony. W bitwach jeden drugiego bronił i zasłaniał, choćby życie dać przyszło.

Przemko obu ich dosyć lubił, oni też doń przywiązani byli, ale za pochlebców i zauszników mu nie służyli, bo Zaręba śmiało i rzeško w oczy panu mówił prawdę. Traf chciał, że ich obu książę Bolesław dla dobrego rodu i dla rycerskiej powierzchowności do

³³ *huba* – hubka, miąższ huby, grzyba rosnącego na pniach drzew, używany do rozniecania ognia z pomocą krzesiwa. [przypis edytorski]

³⁴ *pyłki* (z ros.) – skłonny do gniewu, popędliwy. [przypis edytorski]

³⁵ *worek* – mowa o sakiewce z pieniędzmi. [przypis edytorski]

³⁶ *nieprzytomny* (daw.) – nieobecny. [przypis edytorski]

orszaku synowca naznaczył. Wybierali się wesoło, dość radzi, że zobaczą nowy dwór i trochę świata.

Wiedzieli oni oba o Niemce, ale do tych pokątnych miłostek księciu nie posługiwali. Zaręba z nich złego coś wróżył księciu, za co ten gniewny milczeć mu kazał. Nie sądzili, aby się to przedłużać mogło, i jak się to najczęściej działo, myśleli, że Niemkę za mąż wydadzą wyposażoną za którego dworaka, a książę o niej przy żonie zapomni.

Książę Bolesław w Poznaniu dosiedział aż do wyjazdu synowca. Nie dowierzał mu, nie ruszył się więc, aż go nie zobaczył wyciągającego z całym dworem. Goniec wyprawiony poprzedzał go do Szczecina. Nazajutrz dopiero, mszy świętej wysłuchawszy w zamkowym kościele, książę kaliski do domu zawrócił, a wielki ciężar spadł mu z serca.

Przemko wyjechał smutny i gniewany, myśląc ciągle o Minie, którą rozpaczając porzucił, a gdy mu się przy pożegnaniu uwiesiła na szyi, ledwie się zdołał wyrwać od niej. Padła potem, rycząc z płaczu, na posłanie, przeklinając stryja, synowca i przyszłą księżnę, przeciw której się odgrażała. Przez całą drogę Przemko myślał tylko i z poufałymi, którzy go pocieszali, ciągle mówił o niej. Zaręba jeden, gdy o nią zagadnął, lekce sobie ważąc radził, aby lepiej dziewczkę prostą zapomniał, która niczym nie była, tylko branką i niewolnicą.

Na dworze w Szczecinie, wcześniej do tego przygotowani, przyjęli młodego pana ze czcią wielką. Stary Barwin siwobrody, całe jego życie, a szczególnie niewieście otoczenie i domowy

obyczaj nie były podobne do tych, jakie się naówczas po innych dworach książąt słowiańskich spotykało. Wprawdzie i tu zakradło się już niemczyzny dużo, ale szanowane były podania i zwyczaje prastare, z których tu więcej, niż gdzie indziej, niewiasty przechowały. Zamożność była wielka, ale i prostota dawna, umyślnie pielęgnowana, jakiej indziej widać nie było. Dwór się pewną wieśniaczą rubasznością odznaczał.

Zmuszony do stosunków z Niemcami, stary Barwin, choć się im kłaniał i sam czasem Niemca udawać chciał, w duszy ich nienawidził. Bolało go tyle ziem utraconych, zagrabionych, oderwanych i owa przymusowa uległość sile, która dumie jego była nieznośna. Rad był, że wnuczkę jedyną wyda za polskiego księcia.

Na zamek na wyspie położony, a po dawnemu jeszcze wyglądający, wiódł stary Przemka, już jak syna go przyjmując. Mąż był poważny, milczący, nie narzekający nigdy, zbolący a smutny, lecz radość wielką, jaką miał z przybycia księcia, na pogodnym obliczu się malowała.

Wszystko, co otaczało Barwina, miało staroświecką jakąś cechę. Zachowywano tu nawet dawny obyczaj, oddzielający zupełnie niewiasty od mężczyzn, a chociaż już naówczas w Niemczech i u nas bywały one do uczt przypuszczane, u Barwina pospolitych dni przy stole się nie ukazywały. Pierwszego też dnia, gdy wieczczano w izbie dolnej przy pochodniach i gędźbie³⁷ a śpiewach, nie było ani jednej niewiasty. Może tylko

³⁷ gędźba (daw.) – muzyka. [przypis edytorski]

przez rozwarte gdzie drzwiczki z dala mogły panu młodemu się przypatrzyć. Barwin obok siebie na wysokim siedzeniu Przemka posadziwszy, wieczora tego nic o swadźbie³⁸ nie dopuścił mówić, bo ta wedle starych zwyczajów dopiero nazajutrz uroczyście się odbyć miała. Narzeczoną swą miał Przemko zobaczyć naówczas, gdy dziad, zezwoliwszy na małżeństwo, rozkaże ją przywieść.

Przy wieczerzy szła rozmowa leniwo i niewesoło, Przedpełk wojewoda młodego pana zastępował. Jadła i napoju w bród było dla gości, lecz mimo ochoty, do której grzewano, coś zawisło nad głowami biesiadujących jakby trwoga czy przeczucia. Usta się nie rozwiązywały, spozierano na się nieufnie. Dwór Przemka po części niemiecki, po trosze zniemczały, nie mógł się dobrze porozumieć z Pomorzanami.

Młody książę, który szczęśliwym się powinien był okazywać, nie mógł się przemóc, aby się staremu uśmiechnął. W starym Barwinie coś było poszanowanie obudzającego, ale razem i trwogę. Siwa do pasa broda, krzaczaste brwi, spod których para bladych, ostyglych oczów patrzyła, usta zaciśnięte i pokryte czyniły go tajemniczym i groźnym. Głos miał stłumiony i grobowy. Do jego usposobienia wszystko się tu nastrajało, smętnie i trwożno.

Gdy Przemka odprowadzano do komór mu przeznaczonych, a sam pozostał ze swoimi dworakami, bo wojewoda u księcia starego miał posłuchanie, narzeczonemu zrobiło się smutno i tęskno tak, że gotów był nazadnocką do Poznania uciekać.

³⁸ *swadźba* – wyswatanie małżeństwa. [przypis edytorski]

Widząc go tak przybitym, młodzież siliła się, aby czymś rozerwać.

Zaręba, gdy wjeżdżali na zamek, spostrzegł był ponad wrotami, w górnych oknach, kilka pięknych twarzy niewieścich, ciekawie się im przyglądających. Pomiedzy nimi uderzyła go była szczególnie jedna, dziewczeczka z długo na ramiona rozpuszczającymi włosami jasnożłotymi, w wianuszkę zielonym ze złotymi jagody³⁹, cała w bieli ubrana. Dokoła jej cisnęło się innych wiele. Domyślił się w niej łatwo księżniczki Lukierdy⁴⁰. Była cudownie piękną, ale nie tak, jak wówczas pięknymi dziewczęta mieć chciano. Wątlą, bieluchną, ze swymi niebieskimi oczyma jasnymi, zdawała się niby cieniem onej jakiejś zwodnicy, co się zwykła nad brzegami stawów lub w powietrzu ukazywać, by człeka zawieść na zgubę. Piękną była jak jaka Murawa⁴¹. Patrząc na nią strach brał, aby lada powiew wiatru nie rozdmuchnął ją we mgłę.

Z trwogi może, gdy jej się Zaręba przypatrywał, bledszą stała się jeszcze. Wydała mu się piękna jak anioł, ale wątlą jak dziecina. Była też niewielkiego wzrostu, szczupła i drobna. Inne koło niej urodziwsze i kraśniejsze niewiasty i dziewczęta choć oczy ciągnęły ku sobie, ta między nimi królowała. Znać w niej

³⁹ *jagody* – dziś popr. forma N.lm: jagodami. [przypis edytorski]

⁴⁰ *Lukierda* – właśc. Ludgarda meklemburska (1260/61–1283), córka Henryka I Pielgrzyma i Anastazji Barnimówny, żona Przemysła II. [przypis edytorski]

⁴¹ *Murawa* – prawdop. chodzi o Marzannę, symbolizującą śmierć. [przypis edytorski]

było panią. Rączki bielutkie, które przyciskała do piersi, małe były jak u dzieciny. Zarębie się zdało, że łyzy w oczkach miała.

Później, się u ludzi rozpytujac, przekonał się, iż nie kto inny była, tylko Lukierda, dla Przemka przeznaczona. A że oprócz niego nikt nie dopatrzył księżniczki, Zaręba pospieszył z tym do pana, aby go urodą jej pocieszyć, opisując, jak wielkiej piękności i młodzikutką mieli dostać panią, nad którą jak żyw śliczniejszej nie widział. Przemko słuchał, ale mało go to zdawało się obchodzić, choć drudzy wszyscy ciekawi cisnęli się dopytując i ciesząc.

– Bóg mnie skarż – mówił Michno – jeżeli ja kiedy drugą taką albo do niej podobną widział niewiastę. W kościele na obrazie, który ksiądz Teodoryk przywiózł z włoskiej ziemi, jeden anioł grający podobny trochę do niej, aleć żywa piękniejsza od niego. Młodo tylko i bardzo dziecinnie wygląda, ano i nasz pan nie stary, więc para będzie dobrana. Włos długi, złocisty, jak płaszcz ją okrywał, puszczone po ramionach, twarzyczka biała jak kość słoniowa, oczy niebieskie jak bławatki, a oblicze jakby do śpiewu i modlitwy stworzone.

Drudzy dworzanie prychnęli, śmiejąc się z Zaręby, iż w niej prawie⁴² rozmiłowany był, na co on odpowiedział broniąc się, że juści świętych i błogosławionych miłują ludzie, a grzechu w tym ani wstydu nie ma. Nałęcz nieodstępny od Zaręby, choć się zrazu nie chwalił tym, potwierdzał, że i on widział księżniczkę, która mu się też bardzo piękna wydała.

⁴² *prawie* (daw.) – naprawdę. [przypis edytorski]

Inni, sądząc, księcia tym rozerwą, znosili, o czym się dowiedzieli u dworu, iż nie tylko była piękną, ale dobrą, łagodną, miłosierną, wiele robót niewieścich osobliwych umiała i pieśni przy gęśli⁴³ śpiewała tak cudnie, jak żadna. Na tych powieściach zesła reszta wieczora. Przemko słuchał ich roztargniony, potem zaraz legł, a gdy Przedpełk oznajmić przyszedł, że nazajutrz swadźba się uroczyście odbyć miała, do której wielkie czyniono przygotowania, ani słowem nie odpowiedział. Czeladź szeptała między sobą, iż Niemkini swej zapomnieć nie mógł i markotno mu było po czarnookiej.

Drugiego dnia z rana do siedzącego w otoczeniu swych wojewodów i urzędników Barwina szedł młody książę z Przedpełkiem, ze dworem, przywdziawszy szaty bogate, łańcuchy, klejnoty i co kto miał najpiękniejszego. Mieli na co patrzeć szczecińscy, bo Przemko choć nie wesół był i serca nie miał do tego wesela, ale występować lubił i na ten dzień przystroił się bogato i okazańie. Chwalili go, że pięknym się wydawał. Wojewoda z pociechą i dumą widział, że tu się nikt z nim równać nie mógł.

Nastąpiły przemówienia, na które ze strony Barwina odpowiadano starodawnymi mowy obrzędowymi, jakie przy swadźbach od wieków były w użyciu. Gdy się ta wymiana pytań i odpowiedzi skończyła, dopiero na dany przez starca znak, rodzona ciotka panny młodej z wielkim orszakiem postrojonych niewiast wyprowadziła do izby księżniczkę. Taką się ona teraz

⁴³ *gęśl* – słowiański instrument strunowy. [przypis edytorski]

wydała wszystkim, jaką ją opisywał Zaręba. Strwożoną wielce i zaledwie iść mogącą ciotka musiała i družki podtrzymywać. Szła bielusienka jak lilia, drżąca, chwiejąc się i, gdy do nóg dziada przypadła, prawie omdlała podnosić z ziemi musiano. Godzili się wszyscy, iż cudnie była piękną, ale jakąś urodą, której człek tknąć się nie czuł godzien. Czy ją trwoga tej godziny życia, co o życiu całym wyrokowała, ogarnęła, czy żal po dziadowskim domu, ale siły całkiem postradała, aż ją otrzeźwić musiano i wieść, bo nie wiedziała, co się z nią działo.

Przemko też niewiele przytomniejszym był. Gdy ich potem oboje jako narzeczonych u stołu posadzono obok siebie, słowa do niej przemówić nie śmiał ani nawet spojrzeć na nią. Ona też nie jadła nic, oczki trzymała spuszczone, drżała. Wianuszek ją zdradzał. Kiedy niekiedy, gdyby perła duża, padła łza spod powiek, co oczy osłaniały, na białą, złotem szytą sukienkę, znikając gdzieś w jej fałdach. Kazał im tedy rozweselony stary pić z jednego kubka na znak, że odtąd wszystko między nimi wspólnym być miało. I padła łez para z oczów do napoju, który Przemko wychylić musiał, a gdy mu kubek podawała, a dotknął jej ręki przypadkiem, zimną była jak złote naczynie, które trzymała.

Dziewiczego wieczora obrzędy, choć po innych dworach już zapomniane były, tu się starym zwyczajem odbywały, jak u pospolitego na wsiach ludu. Przy czym osobliwe nucono pieśni pomorskie i kaszubskie, które tylko po chatach jeszcze posłyszeć było można. Stary Barwin chciał mieć i gęślarzy,

i śpiewy, i wszystkie zapomniane obrzędy, może więcej dla własnej pociechy, niż dla wnuczki, którą męczono sadzając, splatając i rozplatając jej kosy⁴⁴, wodząc po izbach i kątach. Starsze niewiasty, którym miód ochoty dodawał, raz począwszy nie darowały już pieśni żadnej ani najmniejszego słowa.

Narieczony też musiał wedle wskazówek druhów kłaniać się, na pytania odpowiadać, to przy dziewczęciu siadać, to za drzwi precz iść i powracać. Zniemczałemu dworowi wielkopolskiego księcia wszystko się to może śmiesznym wydawało, ale ciotka i baby, gdy się rozgospodarowały i rządzić zaczęły, na śmieszki nie zważały wcale.

W ciągu tych śpiewów i chodów, Przemko razy kilka stawać musiał przy Lukierdzie, coś do niej przemówić, rękę jej ująć. Ta była jak lód zimna, a gdy księżniczka odpowiadać musiała, głos jej tak był cichy i łzawy, iż go prawie nie mógł dosłyszeć. Późno się to w noc skończyło. Kilka razy Przemko spojrzał w te niebieskie oczy łzawe i ona trwożliwie spotkała się z jego wzrokiem. Oboje jakby przestraszeni drżeli. Księżę, który zawczasu do łada dziewczęcia taką miał pokusę, że wszystkie przed nim uciekały, dla tej ślicznej swej narzeczonej prawie wstręt okazywał. Zdawało mu się, że go mrozem wzrok jej oblewał, ona płakała mimowolnie, gdy patrzył na nią.

Po tym wieczorem mężczyźni sami zostali jeszcze za stołem z pieśniami i żarty, których i Przemko słuchać musiał. Wojewoda Przedpełk namawiał do tego, aby weselszą myśl obudzić. Ozwały

⁴⁴ *kosa* (daw.) – warkocz. [przypis edytorski]

się piosnki po troszę swawolne, rubaszne żarciki, jakich sobie tylko przy weselach pozwalano, ale księżę zdawał się ani słuchać, ni zważać na nie. Krzywił się raczej, niż uśmiechał, gdy je wprost do niego zwracano. Wojewoda szeptać musiał do ucha, że na weselu przecież pan młody szczęśliwego choćby udawać był powinien.

Domownicy Barwina ściągnęli do izby gęślarzy, których powołaniem było zabawiać gości i starego wesołka książęcego, zwanego Kluską, mającego dar opowiadania baśni śmiesznych. Szczeciński pan lubił bardzo swego dworaka, bo, sam zawsze prawie będąc markotnym, czasem się choć z błazeństw jego mimowolnie mógł rozśmiać. Garbaty, malutki, łysy, z długimi do kolan rękami, ubrany dziwacznie w kusy⁴⁵ kubraczek w pasy czarne i czerwone, w takimże kapturku, z mieczykiem drewnianym, Kluska siadłszy u nóg Przemka dokazywał, udając napitego. Wolno mu było prawić, co ślina do gęby przyniosła, bezkarnie.

– Hej, paneczku polski – wołał zwracając się do niego – powinniście sobie u Barwina wyprosić, aby dał mnie wam w posagu za wnuczką! Nie dałbym ja długo tak ponurym być, jak oto dziś! Za młodu trzeba się wyśmiać, bo potem nie będzie czasu. Albo to wasza bohdanka⁴⁶ nie piękna? Na królowę by się zdała! Na rękach ją nosić a klękać przed nią! A żebyście głos jej posłyszeli, kiedy śpiewa... Chyba aniołowie w niebie Panu

⁴⁵ kusy (daw.) – krótki. [przypis edytorski]

⁴⁶ bohdanka (daw.) – ukochana. [przypis edytorski]

Bogu tak pieją!

Przemko milczał sparty na rękę. Im bardziej mu ją chwalono, tym się wydawała wstrętliwszą, niewiedzieć dlaczego.

– Panku mój – ciągnął Kluska dalej – napij bo się wina! Dziś trzeba ci koniecznie śmiać się i wesołym być. Księżniczka za dwoje płacze, bo jej tak prawo każe. Jej by nie przystało się radować, kiedy dziadusia opuścić musi, a wianuszek utracić! E, wianuszek ów złoty!

Chcąc się zbyć natręta, Przemko rzucił garbusowi garstkę pieniędzy, które on wsypał do torby dużej na plecach zawieszanej, ale nie ustępował.

– Zabierzecie nam z zamku, zabierzecie, co najlepszego było – mówił smutnie. – Patrzcież, gdy wieść będziecie gołąbkę, aby słońce nie przypiekło, bo się roztopić może, aby wiatr nie zawiał, bo się we mgłę rozplynie. My tu na nią chuchali, my tu ją tak kochali!

– Nie bójcie się – odezwał się wojewoda ze strony – znajdzie ona i u nas miłość i chuchanie. Strzec będziemy kwiatuszka, a posadzimy go na pięknym, wysokim zamku.

– Ale, ale – odparł Kluska – choćbyście ją w złoto i diamenty oprawili, tak jej, jak u nas nie będzie, jeśli jak my jej nie umiłujecie!

Spuścił głowę.

– Nam tu bez niej zostać jak bez słońka, bez powietrza i bez wody.

Nie jeden stary garbus tak biadał. Wszyscy w zamku po

księżniczce płakali. Szczególniej bo dobrą była i miłosierną dla biednych, prostemu ludowi zbliżać się dawała do siebie, pychy nie miała żadnej, a gdy wieśniaczki przychodziły do niej, najweselszą, najszczęśliwszą bywała z nimi. Napierała się często dziadkowi, aby ją na wieś puścił, to na wesele jakie, to na Kupale⁴⁷, na święto stare do lasu. Ciągnęła swój dwór z sobą, a powracała w wianuszkach z kwiatków leśnych, z fartuchem pełnym ziół wonnych, lepiej się tym zabawiwszy niż na dworze z Niemcami.

Taką jakąś miała naturę prostaczą, co jej niektórzy za złe mieli, a drudzy ją sławili z tego. Szedł do niej lud z wiosek, dziewczęta i baby z prośbami różnymi śmiało, o każdej godzinie, jakby księżniczką nie była, ale rodzoną mu i równą. Nie poznać też w niej było pani, gdy się po wiejsku przyodziwała i z piosnką na ustach szła w pole. Dziad i ciotka chcieli ją od tego odzwyczaić i nie mogli. Pocieszał się tylko stary tym, że gdy w obce strony pójdzie, obyczaju tego zabyć⁴⁸ musi.

Całą noc śpiewami i okrzykami brzmiał dworzec w Szczecinie. Stały beczki smolone nad rzeką dokoła, noc była pogodna i jasna. Jedni zabawiali się w izbach, drudzy w podwórcach ochoczo. Barwin nie skąpił w tym dniu ni napoju, ni jadła, puszczano, kto chciał, aby ludzie pamiętali zaślubiny Lukierdy.

⁴⁷ *Kupała* – święto słowiańskie, sięgające czasów pogańskich, po wejściu chrześcijaństwa określane jako Noc Świętojańska. [przypis edytorski]

⁴⁸ *zabyć* (z ros.) – zapomnieć. [przypis edytorski]

Kluska, przekonawszy się, że Przemka nie rozchmurzy, poszedł do izby starego pana, który choć nie spał, spoczywał już. Siadł mu w nogach na ziemi i patrzył na Barwina długo.

– Coż, ty stary? Radujesz się? – zapytał.

– Czemu bym nie miał być rad?

– Bo twój polski narzeczony jakby się kwasu napił, a trzeba przecie, aby na weselu komuś wesoło było. Ja za wszystkich nie starczę.

– I narzeczony potem wesół będzie – rzekł Barwin.

Kluska głową kręcił.

– Księżniczka płacze też.

– A ty? – przerwał stary książę.

– Jam zły, choć się śmieję – rzekł błazen. – Pilno bo ci było owoc niedojrzały na ostre zęby dawać! Co ty teraz sam poczniesz na tym pustym zamku, jak ci się jej piosenka nie odezwie, jej śmieszek cię nie rozweseli. Nuż jeszcze z dala jęk przyleci.

Barwin się pogniewał.

– A! Ty kuku przekłety, co nawet na swadźbę krakasz! – krzyknął. – Stulże ty mi dziub zaraz!

Oburącz chwycił się za twarz Kluska spełniając rozkaz, a oczy takie wlepił w starego, że on od niego wzrok odwrócić musiał.

Wesołek po chwili mruczał znowu:

– Nie było jej przed czasem swatać! Nie było! Niechby pączek rozkwitnął, niechby my się nim pocieszyli!

Barwin stary ręką powiódł po czole, milczał, nie chcąc nawet odpowiadać błaznowi, co się na kaznodzieję przerobił.

– Piękny panek! Młody, a pyszny! Kapie z niego złoto, znać, że ziemi dużo będzie miał, ale czy tyle szczęścia? Pogrobek on jest, a pogrobkom różno bywa.

Książę stary kopnął go nogą. Kluska zamilkł. Z cicha potem zaczął jakąś piosenkę zawodzić. Żal mu się już zrobiło starego, któremu dokuczył, i przypomniawszy sobie śpiewkę z dawnych czasów – której Barwin słuchając zawsze się rozplakał, a po łzach mu potem łzej było – ją zaśpiewał.

Stary, posłuchawszy, łagodniej spojrział na błazna, czoło mu się wypogadzać zaczęło. Cichym głosem, drżącym a łzawym nucił niewyraźnie Kluska. Ale oni we dwu i tę nutę ledwie pochwycą, i słowa jej nie dosłyszane rozumieli, a łzy się im obu toczyły.

Długo, długo odzywała się pieśń ta, którą czasem z podwórców dolatujące przerywały okrzyki, aż stary pan i sługa stary usnęli jeden na wezglowiu, drugi u nóg jego na podłodze. I przespali tak dziewiczy wieczór, a gdy nad ranem przebudzili się, w zamku po nocnej biesiadzie wszystko twardym snem ujęte leżało.

Rozdział IV

Skwarny dzień był lipcowy, niebo wypogodzone miało barwę dni letnich, płową od gorąca i jakby oparami przyćmioną. Słońce, zniżając się ku zachodowi, pozbawione promieni, toczyło się jak krwawa kula, wkrótce mając w pościeli mglistej zatonać. Straszne swą rubinową czerwonością, płynęło powoli, stało, patrzyło na ziemię zakrwawioną żrenicą, a ludzie trwożyli się tym obliczem rozgorzałym, które według nich gniew jakiś zwiastowało. Słonko gniewało się na ziemię.

Stare niewiasty, brody popodpierawszy na wyschłych rękach, potrzęsały siwymi głowami; wiedziały one, że takie w posoce umyte słońce prorokowało zawsze: mord, krew, pożogi, wojnę. A dlaczegóż właśnie tego siódmego lipca pokazało się z takim rozplamionym obliczem, gdy w Poznaniu oczekiwano na młodą księżną, którą Przemko ze Szczecina przywoził. Nawet duchowni skłonni byli widzieć w tym jakąś przestrogę, palec boży i stali posępni, poszeptując modlitewki.

Stara Krywicha, stojąc przed dworkiem swoim z babą Wojtkową, nie mówiła nic, bały się, aby nie były podsłuchane, lecz coraz to spozierały ku słońcu, to na siebie, a zaciskały usta, a głowy się im kołysały znacząco.

Skwar nie zmniejszał się mimo wieczora; owszem, teraz coraz ciężiej jakoś oddychać było, a tu całe miasto wysypało się w ciasne, kręte uliczki, na podwórka, na wały, na rynki,

nad rzekę, na gościniec wiodący od Szczecina, bo każdy chciał młodą panią zobaczyć. Na wieży zamkowego kościoła stał strażnik postawiony tam po południu zaraz, który miał dać znać chorągwią, jakby tylko orszak z dala zobaczył. I miano wnet we wszystkie uderzyć dzwony. Na wałach zamkowych, gotując się wyjechać na przyjęcie z orszakiem wspaniałym, siedział, pot ocierając z czoła, Bolesław kaliski, rad, że to małżeństwo doprowadził do skutku.

Przy kościele stało duchowieństwo w komżach i kapach, sam na czele sędziwy biskup Mikołaj, kler, kanonicy i zakony, które w Poznaniu i sąsiedztwie miały klasztory. Ludzie w pogotowiu trzymali chorągwie, baldakim⁴⁹ dla pasterza, kadzielnice, w które chłopcy dmuchali, aby nie zagaśły, naczynie z wodą święconą, cały przybór do uroczystego przyjęcia.

Przy księciu Bolesławie kasztelanów⁵⁰ kilku, mnóstwo ziemian stało poubieranych jaskrawo i świętecznie. Z dala wydawali się jak pole zakwitłe makiem, bławatkami i wszelkimi dziećmi lata. Konie rżały i kopały nogami, pacholćkowie zdjętymi czapkami powiewali, rozpędzając skwar wielki, bo niejeden jak w wodzie stał od znoju. Coraz to ktoś głowę ku górze podniósł, spoglądając na wieżę, czy z niej jakiego znaku nie dadzą. A słońce coraz czerwieńsze, bezpromienne, straszne, zdało się wciąż okiem krwawym i załzawionym spoglądać na te ludu

⁴⁹ *baldakim* – dziś popr.: baldachim. [przypis edytorski]

⁵⁰ *kasztelan* (daw.) – urzędnik zarządzający grodem i podległym mu okręgiem. [przypis edytorski]

tłumy.

Po domach i dworach nie było żywej duszy, wszystko wyległo w ulice; młódź i chłopcy, którzy się docisnąć nie mogli, aby coś zobaczyć zza szerokich pleców starszyny, okrywali płoty, zasiadali dachy, trzymając się dymników, ustawiali się na całych drabinach do domostw poprzystawianych.

Na podzamczu we dworze Krywichey, która stała z Wojtkową w ulicy, obie paradnie strojne, z ogromnymi chustami powiązanymi na głowach, w jedwabnych kaftanach, w mnóstwie sznurów koralików na szyjach – z otwartego okienka widać było twarz jakby w ramy oprawną, śliczną twarz dziewczęcia jasnowłosego, z oczyma czarnymi, ognistymi, zagniewaną, groźną, namarszczoną, zarumienioną, dyszącą. Obie ręce białe trzymała na ramach okna, sama wychylając się z niego z ciekawością gorączkową. Nie widziała nic, na nią patrzyli wszyscy, a niektórzy, poszeptując coś, pokazywali ją sobie palcami. Wśród tego ludu przybranego świętecznie, strojnego, wesołego, radującego się, czarnooka stała jedna wcale nie odziana, włosy miała w nieładzie, białą tylko koszulkę na sobie. Ale stroju jej nie było potrzeba, aby być piękną. Młodość miała, która najlepiej ubiera, i wdzięk taki, że nawet z gniewem było jej do twarzy. Młode parobczaki, zerkając ku niej, cmokali i lubowali się tej śliczności.

Choć tłum mrucał i szmer głuchy przelatywał w powietrzu, wyrównywał on prawie milczeniu, gdy się spojrzało na tych ludzi tysiące. Wszyscy, wstrzymując oddech, słuch wyteżali w

oczekiwaniu, a oczy zwracali ciekawe, gdzie człek na wieży na straży stał wychylony z okna, nie rozpuszczając czerwonej chorągwi. Słońce krwawe jakby mrok jakiś zaczął okrywać jak mgła. Dołem pod nim liliowe wyziewy z ziemi wstawały, nad lasem w dali majaczało⁵¹ sino.

Wtem nagle na wieżycy powiała szeroko puszczone purpurowa chorągiew i pierwszy dzwon się odezwał niby krzykiem bolesnym. Cały tłum ów ruszył i jakby jednym głosem zahuczał. Oczy wszystkich pobiegły na gościniec. Na zamku słyhać było tętent koni, pokrzykiwania ludzi; za dzwonem jednym poczęły co prędzej wyrwać się wszystkie inne, wielkie i małe, i złało się ich brzmienie w jeden ton uroczysty, żywy, spieszny. Szum tłumu zmienił się w gwar, a gwar we wrzawę, wśród której śmiechy tylko można było rozróżnić. Z zamku wyciągali wszyscy. Duchowni pochod rozpoczynali, chorągwie powiewały nad ich głowami, z kadzielnic dym siny obłoczkiem podniósł się ku górze.

– Jada! Jada! – krzyczano zewsząd, niewiasty plaskały w dłonie, dzieci krzyczały.

Tłum, nie mogąc się poruszyć, tak był ściśnięty, w miejscu szeptał, kołysał się, falował.

– Jada! Jada!

A na gościńcu w dali widać było duży tuman płowy i kurzawę wzbitą do góry. Niewielu ucho pochwycić mogło z tamtej strony jakby odgłos trąb, którym z wieży dzwony i trąby też

⁵¹ *majaczało* – dziś popr.: *majaczyło*. [przypis edytorski]

odpowiadały.

Orszak księcia Przemka był wspaniały. Poprzedzali go w kapach czerwonych z sztytami na piersiach orłami trębacze i bijący w kotły tarabaniarze. Dalej jechał wojewoda poznański orszakiem dowodzący, w złota też i purpury odziany, w hełmie złotym. Na siwym koniu pokrytym kapą aż do ziemi spadającą, z głową przystrojoną w czub i brzękadła jechał sam książę Przemko we zbroi złotej z orłem na piersi, w hełmie lśniącym, piękny, młody, lecz poważny i smutny. Obok niego na takimże koniu, w czapce książęcej na główce, w płaszczu jedwabnym szkarłatnym, jechała piękna Lukierda, lecz gdyby Zaręba pieszo idący konia jej za uzdę nie trzymał, a dwu dworzan nie stało po bokach, rękami wyciągnionymi ją podpierając, może by nie dosiedziała na wierzchowcu, tak była blada, przełęczniona, osłabła. Jechała nie jak na gody, lecz jak skazany na męki, oczu nie śmiejąc podnieść, rączkami drżącymi chwytając za siedzenie, chyląc się jak kwiat na łodydze, gdy nim wiatер słałnia.

Radością brzmiało wszystko dokoła, a w niej strach i trwogę widać było. Kilka razy, żywo, ukradkiem przeżegnała się krzyżem świętym, oczy jej strzeliły ku miastu i grodowi i zamknęły się. Zaręba konia jej prowadzący coraz to spoglądał na nią i żał mu jej było. Im bardziej zbliżali się ku zamkowi, tym jej bojaźń wyraźniejszą się stawała.

W chwili, gdy mijali dworek Krywichey, błędne oczy Lukierdy padły na okienko, z którego wyglądała czarnooka, i ujrzały dwie zaciśnięte pięści, które jej, nie komu innemu, podniósłszy się

groziły. W otwartych ustach dziewczyny zobaczyła zaciśnięte zęby białe. Zdawało się jej, że posłyszała przekleństwo i groźbę. Z przestachu krzyknęła, ale wrzawa pospólstwa zagłuszyła głos jej cichy, który w łkaniu utonął. Pierwsza w progu stała, czekając na nią, jakaś groźba i prorocstwo niedoli. W tejsze chwili prawie nadciągnęło duchowieństwo, biskup, książę Bolesław. Kościelny śpiew zabrzmiał hymnem wesołym i wszystko znikło z jej oczów.

Nie opodal na zamku widać tylko było szeroko rozwarte drzwi kościoła, w którego głębi pozapalane światła zdały się jakby katafalk otaczać. Z nowym przestachem Lukierda oczy wlepiła w ten obraz wieszczu. I zdało się jej, że widzi trumnę całunem okrytą, otoczoną świecami, a w trumnie czuła siebie. Dreszcz ją przeszedł i łzy się z oczów polały.

Dokoła brzmiały okrzyki: „Witajcie! Żyjcie!” Trąby coraz głośniejsze huczały dzikim triumfem, niby urągając się łzom biednej.

Biskup, który ich wiódł, przyjął parę u drzwi kościelnych. Na cichej modlitwie u ołtarza jak liść drżała Lukierda. Potem widać było wszystkich znowu ciągnących na zamek. Stary książę wesół prowadził parę swoją. Tego dnia on tu pewnie był najszcześniejszym. Spełniło się, czego pragnął. Uszał gniazdo, Przemko miał żonę. Wątła była i blada, lecz zmęczona i wylękła. Szczęście ją ożywić musiało.

Krywicha mówiła do Wojtkowej:

– Widzieliście wy ją? Toż to jak powisemko⁵² lnu wątle, oczy

⁵² *powisemko* (rus.) – pasemko, pęk. [przypis edytorski]

zapłakane i blade. Nam nie takiej na księżnę było potrzeba. Pamiętacie nieboszczkę Elżbietę! Ta była zażywna, silna a krzepka! Słyszę, ma piętnaście lat, a wydaje się, jakby trzynastu nie miała.

Wojtkowa potwierdziła wszystko.

– Z twarzy niczego, ino blada, blada! Czym oni ją tam karmili?

– Słabowite to będzie, a do takiej, co piszczy, mąż się nie przywiąże, bo to tego ani tknąć.

I głowami wahały. Krywicha się pospiesznie do okna zbliżyła, w którym Niemka czarnooka gniewem dyszała. Śmiejąc się, szepnęła do niej:

– A co? A co?

– A co? Trupa mu do łoża przywieźli! – zawrzała Mina z pogardą. – Krwi w niej nie ma! Jechała jak płótno blada. A ja obie do niej wyciągnęłam pięści – widziała, i krzyknęłam: „Przekłęta!” Słyszała. Zachwiała się na koniu, o mało nie padła. Cha! cha!

Roześmiała się Mina. Krywicha przerażona załamała ręce. Niemki już w oknie nie było.

Na zamku sadzano Lukierdę przy księciu mężu i Bolesław stary gospodarzył rad i wesół, jak rzadko go kto widział, ściskając synowca co chwila. Nie w smak mu szło, iż nowożeńiec wyglądał, jakby mu źle było na świecie. Słowa z niego dobyć nie mógł, patrzył w oczy, gniewał się. Młoda żona przecie na podziw piękną była, czegoż mógł pragnąć więcej?

Siedzieli u stołu długo, potem obyczajem niemieckim płasy się rozpoczęły, ale Lukierda, opierając się, ledwie raz do nich wyciągnąć dała. Przeszła jak cień, chwiejąc się. Skarżyła się na znużenie podróżą i wymknęła do komnat swoich, w których progu czekała na nią niespokojna stara piastunka Orcha. Tej od wyjazdu ze Szczecina oczy od łez nie osychały.

Orcha kochała swą panią jak dziecko, wykołysała ją na rękach, wszystkich pieśni uczyła. Ujrzawszy bladą, słaniającą się, upadającą pod ciężarem sukien swych, łańcuchów i złotych brzemion⁵³, pochwyciła ją silnymi rękami i gwałtownie zatrasnęła drzwi, aby dziecko jej mogło odpocząć same... z nią tylko. Lukierda obejrzała się po izbach. Wszystko tu obce jej było. Wspaniałe stały i strojne, ale to, w co je przybrano, spuścizna po Przemka matce, wiało zbutwieniem i stęchlizną. Powietrze jakieś trupie czuć było w komnatkach, które długo stały puste i zamknięte.

Nie były to jej wesołe izdebki na zamku w Szczecinie, z których na rozlane szeroko dokoła wody patrzyła i na łąki zielone. Z okien widać było wały wysokie, mury szare, jakby ściany więzienne. Zakryła oczy Lukierda i rozplakała się. Orcha ją objęła rękami i przytuliła do siebie. W niemym uścisku pozostały tak chwilę, a stara piastunka, czując omdlewającą panią, poczęła z niej żywo zdejmować, zrywać, zrzucać łańcuchy, kolce⁵⁴, pas i suknie, co ją swym ciężarem

⁵³ *brzemie* – ciężar. [przypis edytorski]

⁵⁴ *kolce* – rodzaj bransoletki. [przypis edytorski]

przygniatały.

– Uspokój się, gołąbko moja! Uspokój! Zamknęłam ja drzwi, nie wpuścimy nikogo!

– A! Jaki to zamek straszny! Jak grób! – wyjąknęła Lukierda. Orcha pewnie myślała toż samo, ale się słowem nie odezwała, nie chciała dodawać jej bólu. Spiesznie, posadziwszy na łożu, rozdziewała swą księżnę, gdy do drugich drzwi gwałtownie dobijać się zaczęto.

Lukierda strwożyła się i drzeć mocniej zaczęła, ale Orcha, podbiegłszy, za drzwiami usłyszała głosy niewieście. Był to nowy dwór księżnej, który się dobijał do swej pani. Na czele jego szła ochmistrzyni, zamaszysta i otyła, cała we wstęgach i galonach⁵⁵, znana we dworze Niemka Berta, która za czasów księżnej Elżbiety dziewczką przy niej była. Wyszczekana, zła, zazdrosna, chciwa, zalotna jeszcze, choć jej lat czterdzieści przeszło, pewna siebie, bo miała u Przemka łaski, parła się dumna, dopominając praw swoich. Mówiono o niej, że księciu się zasługiwała, mimo duchownych i wojewody, pomagając do pokątnych miłostek.

Berta już się знаła z Miną. Szła do swej nowej pani uprzedzona przeciw niej, na piastunkę gniewna, że się jej tu wdzierała, wiodąc za sobą sześć dziewcząt służebnych dobranych tak krasą i zdrowiem, aby panią zaćmiły. Wszystkie one patrzyły dziko, zuchwale, śmiało. Orcha chciała im wzbronić wstępu, gdy samowolna Bertocha poparła drzwi z całej siły i gwałtem

⁵⁵ *galon* – złota lub srebrna taśma obszywająca krawędzie materiału. [przypis edytorski]

wtargnęła do sypialni, poczynając od głośnej kłótni.

– Cóż to? Nie wiecie, że ja tu za rozkazaniem książęcym starszą jestem?! – krzyknęła biorąc się w boki. – Tu nie ma prawa nikt około pani mej chodzić, krom mnie i sług!

– Ja jestem jej piastunką!

– Nie dzieckoż ona! Piastunki jej nie trzeba! – roześmiała się Bertocha.

Spór wszczął się u drzwi, którego Lukierda płacząc słuchała. W obawie, ażeby jej piastunki nie odebrano, półrozebrana do drzwi pobiegła. Widząc ją nadchodzącą, dziewczęta ciekawie wyciągnęły szyje, wytrzeszczały oczy, śmiejąc się i mrugając. Bertocha stała wcale nieulekniona.

– Ja tu, nie kto, jestem starszą do usług waszych! – zawołała.

– Na Boga, zostawcież mi piastunkę moją! – odpowiedziała, płacząc, Lukierda. – Ja nikogo oprócz niej nie potrzebuję, słaba, odpocząć muszę.

– Możesz Wasza Miłość spoczywać – poczęła zuchwale Bertocha – my na obcych się zdać nie chcemy, nam tu usługa należy!

– Ona mi nie obca! Wyście obce! – z płaczem odparła Lukierda. – Idźcie! Ja rozkazuję!

Głosu jej brakło, a Bertocha przerwała:

– Pierwszy u mnie rozkaz mego pana!

Gdy się tak spierano u progu, dziewczęta wszystkie wcisnęły się już do izby, Bertocha wpadła do środka i zaczęła gospodarzyć. Nie zważając na księżnę, porwała suknie zdjęte,

dawała rozkazy służebnym. Orcha, uspokajając, odprowadziła Lukierdę ku łożu. Niepotrzebnej usługi zbyć się nie było można. Księżna płakała, a dziewczęta prychały, śmiały się kręcąc i popychając po sypialni. Ażeby coś robić i niby służyć do czegoś, nalewały wodę do misy, przenosiły dzbany, targwały opony⁵⁶, zasuwały i odsuwały okna, nie mogąc szyderskich utulić śmiechów.

Nie wdając się już w spory z nimi, Orcha dawała im czynić, co chciały, sama zasiadła przy dziecku swym, postanowiwszy nie opuszczać go, choćby się bronić przyszło siłą. Ręką konwulsyjnie zaciśniętą trzymała ją za szatę Lukierda. Bertocha snuła się dokoła, zachodziła ze wszystkich stron, zagadywała na próżno, w końcu gniewna a uparta siadła na ławie dziewczętom rozkazawszy, aby do drugiej izby odeszły.

Ze znużenia i płaczu usnęłyby była może Lukierda, bo już i noc nadeszła, ale krzyki na zamku i groźna, nasepiona twarz Bertochy, której oczy ciągle spotykała wymierzone ku sobie, zasnąć jej nie pozwalały. Orcha, objąwszy rękami, kołysała ją jak dziecko, półgłosem nucąc pieśń od kolebki znaną, tę, którą ją usypiała małą. Zamknawszy oczy, biedne dziecko mogło się jeszcze sądzić na zamku dziadowskim, swobodną. Sprzykrzyło się w końcu siedzieć tak niemej Bertosze, zżymnęła ramionami, zamruczała jakby przekleństwem i wyszła.

Lukierda otworzyła oczy. A! Znowu były same. Siadła na łożu, włosy jej rozpuszczone okrywały ramiona, musiała ręką

⁵⁶ opona (daw.) – zasłona. [przypis edytorski]

odgarnąć je z oczu, aby oczyma rzucić po swym więzieniu. W izbie było ciemno, jedna lampka u obrazu Najświętszej Panny, zapalona przez Bertochę, płonęła małym światełkiem pomrugując. Na ścianach i stołach wielkiej komnaty, tu i ówdzie we złocie i kamieniach, światełko to odbijało się, jakby oczki stworzeń jakichś szpiegujących młodą panią. Po kątach grube zalegały ciemności pełne widm strasznych. Poruszające się zasłony, migające światło – łudziły niby życiem tam, gdzie go nie było.

Dreszcz przechodził nieszczęśliwą wygnankę, chwyciła za szyję Orchę i płacząc szeptać poczęła:

– Moja ty, moja! A! Jak tu obco i straszno! Jak ja tu żyć potrafię! Nie opuszczaj mnie choć ty jedna! Nie mam nikogo! Te straszne sługi napadły mnie jak zbóje. Słyszałaś ich śmiechy? Ta starsza, jakie ona ma oczy! Ukąsiła mnie wzrokiem.

– Gołąbko moja! – tuląc ją i oglądając się, aby z ciemności ktoś nie podsłuchiwał, szeptała Orcha. – Uspokój się! Takie przeznaczenie nasze. Pamiętasz pieśni dziewczęce? One to prorokowały: na obce pójść ręce i słuchać pana obcego! Los to każdej dziewczyny i biednej, i możnej. Przywykniemy do tego! Pan twój dobrym będzie i kochać cię musi. Uśmiechniesz mu się i zrobisz z nim, co zechcesz. Zawsze straszne pierwsze doby.

– Uspokój się, gołąbko moja! Zaśnij, zaśnij!

– Nie mogę! Serce mi bije. Ty nie wiesz – mówiła księżna po cichu – ja się go bardzo boję! Młody i piękny jest, ale ja jego, on mnie nigdy miłować nie będzie. Czuję, jakby ściana z kamienia

stoi między nim a mną. Gdy spojrzy na mnie, jakby się odgrażał, gdy się uśmiechnie, zębami zgrzyta. A! Orcho, ja się go boję!

– A a! – wciąż ją przyciskając i głaszcząc szeptała piastunka.
– Tak zawsze pierwszych dni bywa! Mężczyzna się wydaje wrogiem, ale potem niewolnikiem się stanie. Tylko mu bądź wesołą, dobrą, łaskawą, pokłoni się, posłusznym będzie. A nie pomoże nic, damy mu ziele pić i węzełek od sukni oderwać mu trzeba a nosić przy sobie u piersi, na sercu.

– Nie, nie! – opierała się Lukierda. – Nie pomoże nic! Ja to czuję! Boję się go! Gdy ręki jego dotknę, dreszcz mnie przechodzi, serce bić ustaje.

Piastunka mówić jej dłużej nie dała.

Szepty może by się przeciągnęły jeszcze, ale Bertocha drzwi otwarła, wniosła drugi kaganek, postawiła na ławie, a sama dla siebie słać poczęła u drzwi.

Chciała pozostać na straży, dopóki by pan nie przybył. Ale kury piał, zamek się rozlegał pieśniami, książę Bolesław z wojewodą gospodarzyli ziemian goszcząc, a o Przemku nie wiadano, gdzie się podział. Myślano, że był u żony.

Przekradał się właśnie, nie postrzeżony chcąc wymknąć się z podwórca, gdy na drodze spotkał Zarębę. Ten mu od wrót zaszedł i z poufnością dawną zapytał:

– Dokąd Miłość Wasza?

Przemkowi oczy się zaiskrzyły i popchnął go. Zaręba nie ustępował.

– Na miłego Boga – wołał – miejsce wasze gdzie indziej, nie

za wrotami! Zobaczą ludzie! Co pomyślą! Co powiedzą? Żonie i sobie wstyd uczynicie!

Książę, coraz gniewniej unosząc się, rękę podniósł na niego.

– Tyś tu panem czy ja?! – krzyknął. – Idź mi z drogi zaraz precz!

Zaręba do nóg mu się schylił.

– Co robicie? – wołał poruszony. – Co robicie?! Godziż się to? Ludzie zobaczą!

– Puszczaj! – powtórzył, miecza dobywając, Przemko. – Puszczaj albo ubiję!

Zaręba namarszczony musiał się cofnąć, ale twarz mu się zaczerwieniła gniewem, brwi ściągnęły. Książę, odepchnąwszy go, poszedł do wrót i – zniknął.

Noc była ciemna, z dala tylko błyskało gdzieś na niebie bez chmury. W zamku i na podwałach lud się snuł około beczek, pił i śpiewał piosnki o chmielu i weselu. Księciu łatwo było nie postrzeżonemu przecisnąć się przez ciżbę opila. Rozpychając, potracając, nie patrząc nawet przed siebie, jak szalony biegł wprost do dworku Krywichey, którego okiennica stała otworem dla⁵⁷ skwaru, a we wnętrzu się świeciło. Do drzwi mu było za daleko, tak niecierpliwy biegł, dopadł niskiego okna i skoczył przez nie do izby.

Krzyk się dał w niej słyszeć. Z posłania, na którym leżała, Niemka zerwała się nóż pochwycawszy zawsze pod ręką leżący, ale poznawszy księcia, rzuciła go na ziemię i zawisła mu na szyi.

⁵⁷ dla (daw.) – z powodu. [przypis edytorski]

Nagle, jakby opamiętawszy się, popchnęła go od siebie.

– Precz, ty przeniewierco! – krzyknęła.

Przemko ręce ku niej wyciągnął.

– O, widziałam cię – mówiła głosem namiętnym – widziałam jak jechaliście bok w bok z piękną panią bladą. Masz żonę! Masz żonę! Precz stąd!

Książę cisnął się ku niej, Mina, łajac, już go nie odpychała, siedzieli razem na łożu.

– Widzisz – rzekł Przemko – porzuciłem ją samą, a przyszedłem do ciebie. Czy ci tego jeszcze mało? Wyrwałem się, choć tam za mną śledzą. To żona narzucona, ja nigdy jej kochać nie będę, nie mogę! Nie dla mnie ona! Niech w pustej izbie więdnije!

Mina patrzyła mu w oczy, na pół gniewna, pół rada, odpychała go i chwytala za szyję, cisnęła ku sobie i odwracała się. Łzy, co błysnęły na jej oczach, od ich żaru osychały. Z drugiej izby Krywicha ukradkiem przypatrywała się przez szpary tej scenie, z jakąś zabobonną obawą żegnając się, szeptaając.

Książę, jakby zapomniał o zamku, o żonie, o świecie całym, pozostał przy Minie. Szeptali z sobą, śmiał się, poruszał żywo, odzyskał młodzieńczą rzeźwość. Niemka też przebłagać się dała, choć wracały jej jeszcze dąsy i groźby.

Krótką noc lipcowa już się ku końcowi miała, świtać poczynalo, gdy Krywicha, w obawie jakiejś otwarłszy drzwi, poczęła dniem straszyć. Nie chciała, aby go tu wyszpiegowano.

– Wracaj, Miłość Wasza, dopóki nie zadnieje, potem ludzie

poznają!

Mina puszczać go nie chciała, ciągnąc prawie gwałtem. Zły musiał się jej wyrwać, korzystając z ранnego mroku, aby na zamek powrócić. We wrotach zastał jeszcze Zarębę siedzącego na kamieniu, który, głowę w ręce ująwszy, na straży tu przetrwał oczekując jego powrotu. Zobaczywszy Przemka, nie odezwał się do niego, nie wstał i dopiero, gdy ten go szybkim pomiął krokiem, powlókł się za nim.

Wszedłszy do izb, w których mało już biesiadowało, a więcej na ławach lub pod nimi legło, albo z głowami i rękami na stole zasypiało, Przemko się zawahał. Myślał, dokąd pójść, i zamiast do żony, wrócił do swojej sypialni. Tu czeladź także spała pode drzwiami odpoczywając snem potrójnym: znużenia, młodości i napoju. Nie obudził się z nich żaden nawet, choć księżę drzwi swe otworzył z hałasem i jeden tylko Zaręba wsunął się za nim do izby.

Pan i sługa a dawny towarzysz spojrzeli na siebie jak wrogów. Przemko się nie odezwał do niego. Zrzucił z siebie odzież niecierpliwie na ziemię. Widok człowieka, co śmiało wstrzymywać go, sprzeciwić mu się, burzył go i gniewał.

Zaręba niezłękniomy, chłodny stał i patrzył. Zdawał się czekać na rozkazy. Niegdyś wyrostkami uganiaли się z sobą, nieraz szli siłą próbować, znali się, jak zrosli w jednym gnieździe, bo Zaręba mu chłopięciem do zabaw i posługi był dany.

Przemko rzucił się na posłanie.

– Hej! – zawołał, rękę ściśniętą wyciągając ku niemu. – Jeśli

ty mi raz jeszcze się ośmielisz...

– Żal mi i wstyd za was! – mruknął Zaręba. – Niewarta tego Niemka, aby dla niej książęca córka łzy wylewała, a na was pluły ludzkie języki. Dajcie ją komu, niech precz idzie stąd. Nieszczęście urośnie z tego.

Przemko obojętnie głowę sobie zakrywał.

– Milczże – odezwał się w końcu – milcz! Robię, co chcę, i czynić będę, co mi się podoba. Tobie do tego nic! Nic nikomu!

Zaręba popatrzał nań, zawrócił się milczący i poszedł precz. W Przemku zuchwalstwo sługi wrzało gniewem, uspokoić się nie mógł i zasnąć. Obawiał się, aby go stryj nie poszlakował⁵⁸, ludzie mu nie donosili, gniewał na siebie i na wszystkich.

– Narzucili mi żonę! – mruczał, przewracając się na łożu. – Będzie miała izby książęce i imię książęce, ale mnie nie będzie miała. Kto mnie zmusić może, abym tego trupa miłował?

U drzwi zaszeleściło coś, zerwał się książę. Z kagankiem w rękę wchodziła, czy spodziewając się, czy nie wiedząc, że go tu znajdzie, Bertocha. Spostrzegłszy go, zaśmiała się szydersko. Przemko marszczył się już.

– Nie potrzebuję nic – zawarczał – precz idź!

Bertocha głową potrząsała, wskazując ku izbom Lukierdy, że tam jego miejsce było. Książę usta dumnie podniósł.

– Ty idź tam! – rzekł. – Idź! Pilnuj! Spocznę.

Baba miała coś jeszcze do powiedzenia, uśmiech dwuznaczny przebiegł po jej wargach, obejrzała się dokoła po izbie, kagnek

⁵⁸ poszlakować (daw.) – wyśledzić. [przypis edytorski]

podnosząc i z wolna próg jej przestąpiła.

– Niedawno wrócił – zamruczała – a gdzie był, to ja wiem! I musiało tak być! Ta go nie puści!

Rozdział V

Gody w Poznaniu trwały całą niedzielę. Ziemian przyjmowano, którzy nie tylko z okolic, od Kalisza i Gniezna, z Kaszub i dalszych stron przybywali z podarkami i winszowaniem. Książę kaliski więcej tu gospodarzył niż sam pan, który okazywał się tylko, gdy go wyciągnięto razem z młodą panią, zawsze bladą i zléknioną. Znikał potem on i ona, a stryjowi zdało się, że przy żonie być musiał.

Tam on w istocie mało kiedy i krótko gościł. Przychodził czasem, jak z musu, milczący i chłodny, siadał z dala, pytał sługi czy wszystko było, jak potrzeba, dla księżnej. Czasem coś przykazał Bertosze, przemówił słowo do Lukierdy, która mu nieśmiało i cicho odpowiadała, i co prędzej wychodził. Widząc trwającą tę obojętność, Orcha zalewała się łzami, ale składała ją na to, że i Lukierda nadto była nieśmiałą, a mało mu serca okazywała.

Bertocha, pilne na wszystko mając oko, urzędzała zawsze tak, aby Przemkowi dogodzić, uwolnić go co rychlej, a Lukierdzie dać uczuć, że bez jej pomocy męża sobie nie pozyska. Rachuba jednak na skutek tej groźby chybiła. Powzięła więc ochmistrzyni nienawiść wielką i do pani, i do Orchy, której pozbyć się postanowiła. „Dopóki to babsko tu siedzieć będzie, ja nic nie zrobię – mówiła sobie – pozbyć się trzeba czarownicy. Po co nam tu obca? Albo nas sług mało? Czy to nam wiary nie dają?”

Na zamku był zjazd jeszcze i książę Bolesław do Kalisza nie powrócił, gdy zabiegliwa Bertocha weszła do niego jednego rana. Nie lubił tej starej, podejrzewając⁵⁹ o pomoc w miłostkach, ale baba pochlebiać się umiała. Wsunęła się do izby pokornie, z twarzą posępną.

– A! Co tam powie Bertocha? – ozwał się książę. – Możem wam nie piękną dał młodą panią? A co?

– O, Miłościwy Książę – przemówiła sługa – nie ma co przeciw niej powiedzieć! Piękna pani i młoda, bardzo śliczna, a co po tym, kiedy ona z mężem przystać jakoś do siebie nie mogą! Pokręciła głową.

– Jak to? – pochwycił Bolesław. – Czemu?

– Albo ja wiem! Niech Miłość Wasza kogo chce pyta! W tym jest jakieś лихо, czar jakiś, zadanie⁶⁰. No, bodajbym ja nie zgadła, skąd ono pochodzi – ciągnęła, głos zniżając tajemniczo, Bertocha. – Ja, proszę Miłości Waszej, nie darmo lat tyle żyję na świecie; znam dużo i przeczuję.

Zbliżała się coraz do księcia, przybierając smętną a wielce zakłopotaną minę.

– Po co księżna tu z sobą przywiozła piastunkę starą? To jest czarownica! Z oczów jej to patrzy! Do kościoła nie chodzi, ziołami jakimiś panią poi!

Książę słuchał z obawą razem i niedowierzaniem.

– Tej baby się potrzeba zbyć koniecznie – szeptała

⁵⁹ *podejrzewając* – dziś popr.: *podejrzewając*. [przypis edytorski]

⁶⁰ *zadanie* (daw.) – urok, zły czar. [przypis edytorski]

Bertocha. – Ma swoją mądrość! Dziecka żałuje, dlatego od niej męża odpycha. Prawda, księżna słabowita, wątła, ale takim małżeństwo służy, a póki ona tu, nic nie będzie. Jam tego doszła, że ona ich z dala trzyma od siebie. Zazdrosna, zwyczajnie jak piastunka. Odstępuje ją od męża. Trzeba starą przepędzić, zaraz będzie inaczej.

Bolesław słuchał, niedobrze rozumiejąc. Bertocha, widząc, że go przekonać było trudno, tym mocniej zmagala się na dowody przeciw piastunce, że z niej wszystko zło było.

– Na co jej baba ta? Dosyć nas jest, obcych nie potrzebujemy!

Ostrożny książę, nic jej nie odpowiadając, dał się wygadać i odprawił. Stary Lukierdę miłował bardzo, choć ona do niego śmiałości nie miała, obawiając się jak wszystkich. Rozmyśliwszy się Bolesław sam poszedł do niej.

Rano było, księżna tylko co z Orchą wróciła z zamkowego kościoła. Dwoje dziewcząt stało u progu. Książę wszedł, ciekawie przypatrując się piastunce, którą widział już wprzód, nie bardzo zważając na nią. Teraz pomarszczona, stara, smutna twarz jej mocno w nim ciekawość budziła. Bładość Lukierdy, która na widok wchodzącego drzeć zaczęła, uderzyła Bolesława.

– Dziecko moje – rzekł przystępując ku niej łagodnie – cóż wam tu u nas źle, że tak biało wyglądacie? Prawda, i z tym wam pięknie, ale ja bym rad widzieć u was na licu rumieniec i wesele.

Wahała się z odpowiedzią Lukierda, gdy Orcha, nisko się pokłoniwszy, odważyła panią zastąpić.

– A! Proszę Miłości Waszej, niełatwo to choćby do szczęścia

a do nowego przystać! Starego się zawsze żałuje. Tak i mojemu kwiatkowi, a takie to młode!

Księżę słuchał, patrząc wciąż na Lukierdę, która oczy spuściwszy, odpowiadać mu nie śmiała.

– Teraz jeszcze na zamku tłumno i gwarno – odezwał się – Przemko gości swych zabawiać musi. Rychło się to rozjedzie, boć już czas; zostaniecie sami. Dzięki Bogu wyprawy pilnej nie ma. Poznacie się lepiej, weselej się stanie.

I na to nie umiała nic odpowiedzieć młoda pani, a Orcha, patrząc w oczy staremu, poruszała ustami.

– Dajcie czas! Dajcie czas, Miłościwy Panie – szepnęła. – Wszystko się dobrze złoży! Droga niebożątka zmęczyła, bo to słabe, bo to młode. Tu wszyscy obcy, niech się rozpatrzy a ośmieli.

Przemko, któremu oznajmiono, że stryj był u jego żony, wszedł niespokojny, jakby się rozmowy tej sam na sam obawiał. Groźno od proga spojrział na Orchę, oczyma jej nakazując ustąpić. Dla stryja przybrał oblicze wesołe i do żony się zbliżył.

– Pilnuj mi ty jej i strzeż, a miłuj – odezwał się stary – żeby prędzej ośmieliła się a panią tu poczuła i rozkwitła znowu.

Z lekka popchnął go ku żonie, którą Przemko ujął za rękę drżącą i zimną. Patrzył na nią z wymówką i jakby pogróżką, ale Lukierda spojrzenia tego nie spotkała, bo oczów od ziemi nie podnosiła i przemówić nie śmiała.

Litując się jej a sądząc, że się go wstyda, Bolesław zabrał się do wyjścia, samych ich chcąc zostawić. Przemko

z przymuszonym śmiechem pożegnawszy żonę, pośpieszył za stryjem.

– E, twoja wina czy nie – rzekł Bolesław, za drzwi wyszedłszy – ale smutna ona jest, zabawiać ją potrzeba!

– Tęskni za dziadem i za swymi – odparł Przemko. – Płaszów nie lubi. Dziś turniej będzie, to mu się przypatrzy i rozerwie. Sług też ma dosyć, jest komu i pieśni śpiewać, i baśni prawić.

Mówił żywo, roztargniony, niespokojny, więcej dla ułudzenia stryja, niżby go to wiele obchodzić miało.

– Piastunkę tę starą – dodał – wypadnie precz stąd wysłać do Szczecina, bo ona jej dziada przypomina i głowę smutkami nabija.

Nic na to nie odpowiedział stary książę i poszli do ziemian. Po stole⁶¹, do którego księżnę przyciągnięto, zabierało się na turnieje w podworczu zamkowym. Nie pierwsze to już były czasu wesela, ale te najuroczystsze i najświetniejsze być miały. Księżna sama miała nagrody rozdawać, a po nich, jak zwykle, następowały płasy i do późna biesiada a śpiewy. Bawiło to niewiasty, gdy się przypatrywały zapasom zręcznej młodzieży, rzadko się kończącym tragicznie. Padali z koni niektórzy, czasami z ranami od włóczni lub nabitymi guzami, zabitych mało bywało i to chyba z przypadku. Sam książę Przemko miał wystąpić dnia tego w szranki⁶²; było i Niemców kilku, a Zaręba i Nałęcz sposobili się

⁶¹ *po stole* – tu: po posiłku, po obiedzie. [przypis edytorski]

⁶² *szranki* – ogrodzenie placu turniejowego, przen.: turniej rycerski. [przypis edytorski]

także do boju, bo do najzręczniejszych należeli.

Zabawie tej księżna odmówiła przytomności⁶³ swej, opowiadając się chorą. Księżciu na gniew się zebrało, chciał ją tu mieć koniecznie. Poszedł sam. Orcha przy łóżku jej siedziała. Zapytał, zaburczał, wszedłszy Przemko, okazał gniew, usłyszał płacz i wyszedł nie nalegając. Bertocha czatowała nań w progu.

– Nie chce księżna iść! – zawołała. – O tak! Jej tu i tej starej wieźmie wszystko złe, nic nie w smak! Naumyślnie, na przekor położyła się do łóżka. Z rana zdrowa była, gdy do kościoła chodziła. Póki przy niej ta czarownica jest, wszystko tak iść będzie. Precz potrzeba wygnać tę starą! Niech no ja przy niej zostanę, będzie wszystko inaczej.

Ale Przemko nadąsany słuchać jej nie chciał. Turniej odbył się bez księżnej. Księżciu na nim nie bardzo się poszczęściło. Sam on przeciw sobie kazał wystąpić Zarębie. Starli się w szrankach tak nieszczęśliwie, iż ksiązę został z siodła podniesiony, zachwiał się i o mało nie spadł. Przeciwno prawom szrankowym Niemiec podbiegłszy podparł go i zsunąć się nie dał. Przemko w tej chwili Zarębę, nie spodziewającego się już ciosu, pchnął tak silnie pod pachę, że z koniem razem go obalił. Zwyciężył wprawdzie, ale widzieli wszyscy, iż Przemko nie praw był⁶⁴, a gdyby się to innemu trafiło, sędzia by go potępił. Uszło to panu; ale sam on czuł się pokonanym i gniew przeciwko Zarębie wzmógł się jeszcze.

⁶³ przytomność (daw.) – obecność. [przypis edytorski]

⁶⁴ nie praw był (daw.) – nie należało mu się. [przypis edytorski]

Słuczonego mocno wyniesiono ze szranków dworzanina, który słowa nie rzekł ani się poskarżył. Nadbiegł zaraz przyjaciel Nałęcz i powlekli się, gdy do siebie przyszedł, razem do izby, którą na zamku zajmowali. Kulał Zaręba, nie mówiąc nic i nie narzekając na to, że go pokrzywdzono. Trzeba było zaraz rozdziać go ze zbroi i zawołać babę, ażeby radziła na silne potłuczenie. Rany wprawdzie nie było, ale krew nabiegła i zsiniała w miejscu, na które padł ze zbroją ciężką. Bolało ciało całe. Nie stękał, usta ściąwszy, bo mu więcej co innego dolegało. Z tym się odzywać nie śmiał.

Kochał dawniej księcia, a teraz doń tracił serce z powodu płochości⁶⁵, a gniewne uderzenie przeciw prawu oburzało go. Nałęczowi o tym mówić nie potrzebował, bo ten go zgadywał.

W milczeniu druh krzątał się około pobitego, chłopca posłano po babę, gdy drzwi otwarły się z trzaskiem i Przemko do izby wpadł sam, jeszcze jak stał, we zbroi. Na głowie tylko hełmu nie miał i twarz, na którą spojrzał Zaręba, wydała mu się zmienioną dziwnie.

Przemko zawsze dumnie i pańsko się stawiał, nigdy go jednak takim nie widzieli. Szedł, gdyby majestatem jakimś odziany piękną twarz namarszczywszy. Stał nad leżącym, w bok się ujął i począł mówić z wolna:

– Słuchaj, Zaręba, a nie szkodzi żebyś i ty – tu na Nałęcza wskazał – także ucha nadstawił. Co było między nami za młodu, gdyśmy wyrostkami biegali po podwórcach, to było i

⁶⁵ płochość (daw.) – niestałość. [przypis edytorski]

skończyło się. O tym pamiętajcie! Jam tu dziś panem i przede wszystkim chcę, by mnie szanowano! Nikt mi nie ma prawa nauk dawać za to, co czynię, okrom⁶⁶ księdza na spowiedzi. Kto mi się w najmniejszym sprzeciwi, tego tu cierpieć nie będę. Nie zapominajcie, że starego Mieszka krew we mnie płynie.

Panem chcę być, a jako pan wszędzie górę mieć muszę – i na turnieju! Dla pospolitego człowieka, goniąc z koniem paść, niesławy nie ma, książęciu na uragowisko ludzi być zwyciężonym – nie godzi się. Powiesz, że prawa turniejowe zachowane nie były – dla mnie praw nie ma. Ja prawa daję! Wynagrodzę cię, Zaręba!

– Rycerzowi za niesławę się nie płaci! – odparł leżący.

– Ja mówię, że niesławy nie ma! – odparł książę. – Nagrodę turniejową odstąpiłem dla ciebie – ale mnie paść nie przystało!

– Dobrze to ze mną – rzekł – com Waszej Miłości sługą, ale w innym turnieju, a w wojnie, losy niepewne. Daj Boże, aby tam was Niemiec jaki podtrzymał!

– Ty sam – odezwał się książę – gdy ci żal ten odejdzie, trzymać mnie będziesz. Dziś sierdzisz się i gniew ci rozum odejmuje. Potem ci serce do mnie powróci.

To powiedziawszy, wyszedł książę, a dwaj przyjaciele zostali sami i długo siedzieli milczący.

– Dawniej lepszym był – rzekł w końcu Zaręba – teraz mu się na wielkie państwo i dumę zebrało. Kto wie, przyjdzie może ze dworu iść precz, gdy wyżyć z nim będzie trudno.

– Precz? – zapytał powolny Nałęcz. – A toż, gdybyś ty stąd

⁶⁶ *okrom* (daw.) – oprócz. [przypis edytorski]

musiał i ja bym za tobą się powlókł. A dokąd-że?

– Albo to ich mało? – odparł Zaręba. – Młodym, rycerskiego rzemiosła a dobrego rodu ludziom wszędzie radzi. Leszek⁶⁷ przyjmie, w Krakowie też powinowatych mamy, a i na Śląsku się znajdują, choćby i na Mazurach. W ostatku i u Mszczuja na Pomorzu.

– Gdzie ty pójdziesz, tam i ja z tabą – dodał Nałęcz – o tym nie ma co i mówić. Ale mnie tego zamku, a bodaj i księcia, żal będzie. Zawsze człowiek tu jak w swoim gnieździe się czuje.

– Prędko to gniazdo niewygodnym się nam stanie! – zawołał Zaręba. – Od czasu jak tę Niemkę wziął, a potem mu żonę dali, stał się Przemko innym człowiekiem. Widziałeś go przed chwilą, jak tu stał; rzekłbyś inny, a nie ten, com go nieraz, za kark chwyciwszy, dusił.

Rozśmiał się.

– Pójdę stąd – dodał bez namysłu – ciężko mi, nie strzymam. Wiesz czemu?

– Któż cię zgadnie – szepnął Nałęcz. – U ciebie po głowie zawsze ptaszki latają.

– Śmiej się, kiedy chcesz, albo i łaj – mówił Zaręba. – Nie będę mógł długo patrzeć na tę młodą panią, cośmy ją tu przyprowadzili. Żal mi jej okrutnie! Oni ją tu zamęczą. Żywej duszy litościwej dla siebie nie znajdzie. Przemka Niemka, która mu coś zadała, nie puści tak łatwo, a tę niewinną

⁶⁷ Leszek Czarny (1241-1288) – książę sieradzki i łęczycki, który otrzymał dzielnicę krakowską po bezdzietnym Bolesławie Wstydlwym. [przypis edytorski]

panią złe babska zadręczą. Słyszałem już, gdy się niepocziwa Bertocha odgrażała, że jedyną jej piastunkę, którą przywiozła ze Szczecina, wypędzi precz. Zostanie sama. Gorzej tu jej będzie niż niewolnicy. Ja na to patrzeć nie chcę!

– A cóż pomoże, gdy stąd pójdziesz? – odezwał się Nałęcz. – Kiedy ci już tak na sercu los tej pani, lepiej żebyś jej tu pilnował i pomagał. Ano – tu się zaciął pocziwy Nałęcz – dałbyś temu pokój! Ludzie z tej litości co innego zrobią i jej z tym będzie źle, i tobie gorzej być może.

Zamyślił się Zaręba długo.

– Kto wie? Słuszność masz może. Zostanę do czasu, zdam się na coś, posłużę. Żal mi tej pani nieszczęśliwej.

– Mnie też jej żal, bo ona tu nie na gody przybyła – dodał Nałęcz – ale co nam się mięszac⁶⁸ w sprawy książęce i palce kłaść między drzwiami.

Ustała rozmowa. Ostatni dzień jeszcze turniejów pozostawał, którego Zaręba świadkiem być nie mógł i nie chciał. Ale że go ciekawość brała, jak też wypadnie, Nałęcz posłał, który gonić sam nie miał i jako świadek tylko stanął przy sznurach szrankowych. Przemko, doświadczwszy, iż łącznie w turnieju sromu⁶⁹ napytać, przez dumę nie chciał już iść z nikim w zawody.

Tego dnia jeden wszystkich prawie zwyciężał i najwięcej nabrał nagród i wianków. Był nim młody, bogatego ziemianina syn, Jakub Świnka. Powracał on ze dworu cesarskiego, na

⁶⁸ *mięszac* – dziś popr.: mieszać. [przypis edytorski]

⁶⁹ *srom* (daw.) – wstyd. [przypis edytorski]

którym czas jakiś przebywał; zamierzając teraz wkrótce się udać na dwór króla Francji i do Włoch, aby więcej zobaczyć świata. Jedynak u ojca, piękny, młody, silny, odznaczał się też, naówczas co rzadkim było, wychowaniem takim, iż równie na kleryka zdać się mógł, jak na rycerza.

Mówiono o nim, że oprócz rycerstwa, mądrość wielce miłował i księgi rad czytywał. Śmiano się nawet z tego upodobania, bo w Niemczech zwłaszcza, choć który z rycerzy czytać się nauczył przypadkiem i podpisać umiał – sromać się⁷⁰ do tego przyznawać. Nie rycerska to rzecz była, a klesza. Klechę nazwać młodego wojaka obelgą było. Przecież Jakub Świnka wcale się tego nie wstydził, co umiał. Księża, śmiejąc się, wróżyli mu, że chyba sukienkę ich oblecze. On się z tego śmiał też, bo młodym będąc, wcale o tym nie myślał.

Z dowcipu i rozumu, choć jeszcze pono lat trzydziestu nie miał, czcili go nawet starzy. Bystrość miał myśli wielką i nie mniejszą śmiałość w słowie. Jedno mu tylko zarzucić było można, że do polskiego zamaszystego, gardłującego ziemianina pospolitego wcale nie był podobnym. Wziąć go było można za Włocha lub Francuza, chociaż językiem swym doskonale mówił i wolał nim rozmawiać niż innymi. Na dworze cesarskim gładkich nabrawszy obyczajów, choć czasem swojskiej rubaszności zażył, umiał ją tak okrasić, że pewny osobliwy wdzięk miała. Lubował się nim wielce książę kaliski, stary biskup i inni panowie.

⁷⁰ *sromać się* (daw.) – wstydzić się. [przypis edytorski]

W turniejach okazywał zręczność nadzwyczajną i siłę, ale oboje sobie lekceważył. Gdy go potem, jako zwycięzcę, blisko książąt posadzono, bawił opowiadaniem o dworach i obyczajach, które widział, Bolesław, słuchając, jak o wspaniałościach obcych monarchów prawił, westchnął i dodał:

– Byłoby i u nas inaczej, gdyby się ten kraj wielki nie porozpadał na części tyle i nie narosło nas, małych książąt, jak mrowia. Dawniej było lepiej, za starych Mieszków i Chrobrych, bodaj za Szczodrego. Od niego poszło nieszczęście pierwsze, gdyśmy koronę utracili, a od Krzywousty⁷¹, co państwo na małe działały pokrajał. Da Bóg, trzeba do pierwszego powrócić!

– Tak ci jest pewnie, Miłościwy Książę – odezwał się rzeško Świnka – święte słowa wasze. Niech tylko jeden kilka dzielnic zagarnie, reszta się do niego przyłączy. Królem go zaraz ukoronujemy.

Przemko uśmiechnął się z niedowierzaniem.

– Dobra to rzecz pomyśleć – rzekł – ale dokonać inaczej jak przez krew nie można, a krew i koronie błogosławieństwa nie przynosi.

– Gdy Bóg zechce a zrządzi, i bez krwi się obejść może – dorzucił Świnka. – Ot, Miłość Wasza, macie już Polskę Większą⁷². Bóg da, weźmiecie co z Pomorza.

⁷¹ *Krzywousta* – archaiczna forma przydomka Bolesława Krzywoustego. [przypis edytorski]

⁷² *Polska Większa* – Wielkopolska (dosł. tłum. z łac. *Polonia Maior*). [przypis edytorski]

– Da mu Mszczuj pewnie dziedziczyć po sobie – przerwał Bolesław żywo – a ja mu Kaliskie zostawię.

– Kraków i Sandomierz też bezpańskie pono zostaną – mówił Świnka dalej – bo się o nie wielu chyba dobijać będzie po bezdzietnych. Łatwo przyjdzie ich dostać, a tak naszemu panu, jak nic, może przyjść królestwo do rąk i korona na skronie. A! – zawołał rozochocony Świnka. – Zaraz go w Gnieźnie ukoronujemy. Chowają tam w skarbcu ów sławny Szczerbiec Chrobrego, co mu go anioł przyniósł z nieba, i koronę starą Chrobrową.

Przemkowi uśmiech dumy przeleciał po ustach.

– Ano, dobrze tak! – rzekł szydersko. – Ino⁷³ wy zostańcie arcybiskupem, abyście wy mnie ukoronowali!

Jakub i wszyscy śmiać się głośno zaczęli, bo patrząc na młodzieńca rycerskiej postawy, który właśnie na turnieju wianki zdobywał, zdało się jego arcybiskupstwo równie do wiary niepodobnym, jak żeby rozbite państwo na nowo zjednoczyć się miało.

Słyszac śmiechy te, Jakub zamilkł, usta mu się też dożyły jak do uśmiechu, i po tych jasnych myślach osmutniało nagle wszystko. Bolesław zadumał się.

– Daleko jeszcze do tego, daleko! – zamruczał. – Lecz Bóg wielki jest i cudowny. Karze on nas i chłoszcze, a gdy za grzechy odpokutujemy, zlitować się może.

– Amen! – dokończył sędziwy biskup poznański.

⁷³ ino – tylko. [przypis edytorski]

Długo w noc gwarzono przy stołach dnia tego, nazajutrz ostatek gości już się z zamku wybierał. Jakub Świnka jechał też dalej za granicę, gdzie co poczynąć miał, nie spowiadał się. Domyślano się, że wszelkiego rycerstwa próbować chciał, bo miał wielką świata ciekawość.

Nie uszło to oka księcia Bolesława, że Przemysław dla młodej żony oziębłym był. A choć z tych dni pierwszych nic jeszcze wnosić nie godziło się, gdy nazajutrz się żegnali, a on odprowadzał go jak ojca, przy koniu idąc aż do wrót, pochylił się doń stary i rzekł:

– Patrzaj, ażebyś z tą żoną, jaką ci Bóg dał, żył w miłości i zgodzie, jako ojciec twój z Elżbietą, jako ja z Jolantą. Taką ją mieć będziesz, jaką sobie uczynisz, bo niewiasta posłuszną jest, gdy miłuje, i w ślad idzie za panem swym. Dziecko to jest jeszcze, dobre i łagodne. Będziesz ty dla niej miłosiernym i wiernym małżonkiem, ona ci też żoną zostanie dobrą. Niech Bóg wam błogosławi.

Przemko wysłuchał nauki tej w milczeniu, usta zagryzł, a gdy na zamek powrócił, markotno mu było, że go stryj napominał, bo teraz nawet od niego nauki żadnej nie chciał znosić, a słowa Bolesława znaczyły, że stryj o nim powątpiewał.

W kilka dni potem już Mina z dworku na podzamczu przeniosła się na zamek. Dano jej izby przednie, Bertocha ją tak samo w opiekę wzięła jak księżnę, skłaniając się więcej ku tej, do której księcia namiętność ciągnęła. Obie Niemki lepiej się też rozumiały.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.